POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND – WEEKLY FOR THE POLISH FORCES – PRICE THREEPENCE

Wychodzi co tydzień | ***Dnia 1-go września 1945r.*** | **Rok VII. Nr. 35**

SZÓSTA ROCZNICA WRZEŚNIA

Szóstą rocznicę 1 września 1939 roku będziemy przeżywać po raz pierwszy, gdy Druga Wojna Światowa jest już skończona — w sensie zakończenia działań wojennych.

Niemcy poddały się wskutek złamania ich woli walki jeszcze przy pomocy środków, którymi same wojnę zaczęły. Japonia poddała się już po użyciu przez Anglo-Sasów bomby atomowej. Chcę zwrócić uwagę, że w pewnych warunkach *niewspółmierności sił*, którą mimo potężnych jeszcze sił zbrojnych Japonii spowodowała bomba atomowa — walka staje się niemożliwa.

Polska pierwsza od wielu wieków znalazła się właśnie w warunkach takiej niewspółmierności sił, jeśli porównać "Luftwaffe" i niemieckie dywizje pancerne z naszym słabym potencjałem wojennym. Polska jednak przeprowadziła kampanię do końca, to jest do zupełnej zagłady Polskich Sił Zbrojnych.

Jedynie dzięki przejściu zagranicę władz politycznych i wojskowych oraz szczątków wojska i personelu lotnictwa /część marynarki wojennej, zgodnie z umową znalazła się tam już wcześniej/ — Polska potrafiła przedłużyć swój byt polityczny i swój udział w wojnie. Wkrótce podjął również dalszą walkę Kraj.

Działania wojenne ustały i niedługo nastąpią obrady pokojowe.

Na tle naszego 1 września 1939 roku chcę poruszyć kilka myśli, które rzucą może nieco odmienne światło na ten temat, gdyż robione to będzie przez pryzmat obserwacji i doświadczeń sześciu lat wojny.

WARUNKI POLITYCZNE

Położenie polityczne Polski przed 1 września 1939 roku było złe. Polska była wciśnięta między Rosję i Niemcy. Znajdowała się już w czasie pokoju w niemieckich kleszczach, którymi została przyparta do ściany sowieckiej.

Strategicznie otoczona, przy niewspółmierności sił, skazana była z góry — wobec niemieckiej agresji — na obronę.

Warunki obrony miała złe. Komunikacje na północ, przez Bałtyk do Szwecji, mogły być z miejsca przecięte przez północne ramię kleszczy, na południe zaś zagrożone przez ich południowe ramię.

Wszelkie kalkulacje na pomoc Rosji — wobec 17 września — muszą odpaść.

Front zachodni — trudno jest nawet używać tego terminu — był tak mocno wygięty i tak bardzo wyciągnięty, że jednym skrzydłem sięgał Grodzieńszczyzny, a drugim Zagłębia Naftowego. Im bardziej zbliżaliśmy go ku granicom Prus Wschodnich, Brandenburgii, Śląska i Słowacji — tym bardziej się rozciągał, a tym samym osłabiał i tym bardziej samobójczo wciągał się w ramiona kleszczy. Powrócimy jeszcze do tego zagadnienia w rozważaniach strategicznych w następnym numerze "Polski Walczącej".

Najistotniejszym błędem dyskusji i krytyk na temat tragicznego września było — moim zdaniem — stałe przeoczanie trudnych warunków politycznych Polski. Pisząc to jako wojskowy, nie chcę bynajmniej przesuwać punktu ciężkości zagadnienia na inny "resort". Myślę, że mój krytycyzm, w stosunku do polskiej myśli strategicznej — będzie wystarczającym dowodem, że nie chodzi mi o odwrócenie uwagi od wojskowej strony zagadnienia. Istotnym motywem tak silnego łączenia warunków politycznych ze strategicznymi jest moje najgłębsze przekonanie, że nowoczesna strategia w sensie prowadzenia wojny nie da się oddzielić od zagadnień politycznych, gospodarczych i innych, związanych z potencjałem wojennym państwa.

Gdybyśmy w dyskusjach tych brali zawsze za początek, za punkt wyjścia Traktat Wersalski 1919 roku, oszczędzilibyśmy sobie wiele goryczy i uniknęli "potępieńczych swarów". Data Traktatu Wersalskiego to minimum koniecznej perspektywy w spojrzeniu na Polskę Września 1939 roku. Dzisiaj ze szczególną wyrazistością przez pryzmat naszego doświadczenia dwudziesto-lecia pokoju i sześcio-lecia wojny — możemy zobaczyć, że Polskę w Wersalu ustawiono jako państwo *małe*. Powiedzmy dobitniej, opiekuńcza wówczas Francja chciała w nas widzieć swego wasala a zaś Francji już przeciwstawiano pobite Niemcy i nie chciano ich osłabiać zbytnio na rzecz Polski. Stąd: Gdańsk, plebiscyty na Górnym Śląsku, Mazurach i t.d. Marsz na Berlin dlatego odbył się w Drugiej Wojnie Światowej, że nie spełniono tej konieczności w Pierwszej Wojnie Światowej.

Były jednak próby dźwignięcia Polski z tego poziomu małości, jednakże nie były one do przeprowadzenia wobec naszych słabych sił i niezrozumienia przez świat. Próby te załamały się. Polska nie stała się trzonem Europy Środkowej. Federacja nie doszła do skutku: Polska nie miała ani *przestrzeni*, ani *potencjału ludności*, ani obszaru zdolnego *gospodarczo* żywić wojnę z taką potęgą jaką stanowiła Niemiecka Rzesza Hitlera.

To jest *pierwsza i główna* przyczyna przegranej w Kampanii Wrześniowej.

WARUNKI GOSPODARCZE

Potencjał gospodarczy Polski był słaby. Wzięty porównawczo w stosunku do potencjału gospodarczego Niemiec oraz do potencjału gospodarczego Rosji /po kilku "piatiletkach"/ był jeszcze słabszy.

Nie chcę zatrzymywać się nad rzeczami znanymi, wielokroć poruszanymi, jak n.p. wadliwa reforma finansowa, światowy kryzys gospodarczy, nastawienie się na budżet wegetacyjny i.t.d., dlatego poza tym zasadniczym stwierdzeniem wstępnym podkreślę tylko dwa momenty:

pierwszy — to brak *planu państwowego*, zasadniczo nastawiającego życie gospodarcze państwa, które zaczynało to życie jako na większości swych obszarów zupełnie zrujnowanych w wyniku działań Pierwszej Wojny Światowej,

drugi — to brak jasnej *myśli strategicznej*, która dość wcześnie postawiłaby resortom gospodarczym określone żądania.

Pewna niewątpliwa poprawa pod tym względem, wiążąca się z powstaniem C.O.P., sprecyzowaniem planów rozbudowy Sił Zbrojnych i t.d. była aktem spóźnionym, wobec tego, że wojna wybuchła już w 1939 roku.

Brak rozmachu gospodarczego, ubóstwo oraz chęć "przedobrzenia" sprawiły, że produkcja sprzętu wojennego nastawiona była na *jakość* a nie na *ilość*, którą należało osiągnąć, chociażby za cenę świadomego obniżenia jakości.

Słabość gospodarcza Polski sprawiała, że gdybyśmy nawet wcześniej byli zabrali się do "utechnicznienia" Sił Zbrojnych, poprawiając ich stan pod tym względem, to też nie bylibyśmy w stanie *nigdy* sprostać potencjałom gospodarczym obu sąsiadów, gdyż ich warunki naturalne były bez porównania bogatsze.

Pisząc, że nawet dwudziestoletnia racjonalna gospodarka nie była w stanie sprostać potencjałom sąsiadów, nie chcę przez to powiedzieć, że nie należało zrobić tego wysiłku, przeciwnie wysiłek ten winien był być zrobiony. Chociażby dlatego, żeby uniknąć tego moralnego wstrząsu i tej goryczy, jaka ogarnęła Polaków po katastrofie września.

Słabość gospodarcza Polski była *następną przyczyną* przegranej kampanii, jednak słabość ta nie była wolna w pewnym stopniu od naszych własnych błędów.

WARUNKI STRATEGICZNE

A. Myśl strategiczna

Pierwsza Wojna Światowa, po pierwszych działaniach ruchowych lat 1914 i 1915 — przerodziła się w wojnę okopową, materiałową. Manewr zamarł i znikł z jej pól bitew, w szczególności bardzo dobitnie zaznaczyło się to na froncie zachodnim.

Wojna polsko-rosyjska 1920 roku została zakończona przez Pierwszego Marszałka Polski zwycięską bitwą nad Niemnem. Fakt zwycięstwa odbił się na polskiej myśli strategicznej wyraźnie i raczej ujemnie. Za jej podstawę przyjęto manewr. W manewrze szukano rozwiązania w każdym wypadku.

Myśl była w zasadzie słuszna, tylko kiedy nowe teorie wojenne u naszych sąsiadów przyjęły za środek szybkości manewru *silnik*, u nas manewr miał być nadal wykonywany nogami piechura i konia kawalerzysty. Podczas gdy nowe teorie uznały w pełni wojnę trójwymiarową, przyjmując lotnictwo za jedną z części Sił Zbrojnych, u nas pozostało ono nadal jedynie do współpracy z wojskiem.

U przeciwnika czołg stał się podstawowym elementem natarcia w ramach dywizji pancernej — jednostce manewru. U nas dywizja piechoty i brygada kawalerii pozostały nadal postawowymi wielkimi jednostkami wojska.

Na kilka lat przed wojną zaczęliśmy gwałtowniej dozbrajać wojsko pod kątem obrony przeciwpancernej i przeciwlotniczej. Mianowaniem Inspektora Obrony Powietrznej Państwa /1936 r./ zaznaczono moment, w którym to zagadnienie zostało rozszerzone na całość życia państwowego.

Sprawiedliwość wymaga, żeby podkreślić dobitnie tę próbę unowocześnienia sił zbrojnych, aczkolwiek tylko w sensie obronnym, to jednak idącym w kierunku właściwej myśli strategicznej. Próba ta była jednak za mało radykalna. W każdym razie w pewnym stopniu rehabilituje naszą myśl strategiczną i nie pozwala mimo klęski popaść w niewiarę we własne siły.

Kiedy wojna wybuchła i do rozprawy stanęły na przeciw siebie dwie siły zbrojne:

jedna trójwymiarowa, na ówczesnym poziomie najwyższym — z potężną "Luftwaffe", panującą w trzecim wymiarze,

a *druga dwuwymiarowa*: wojsko, wsparte bardzo słabym lotnictwem. Niewspółmierność sił okazała się nie do wyrównania, gdyż ani słabe lotnictwo nie było w stanie osłonić wojska przed potężną "Luftwaffe", która szybko zawładnęła powietrzem, uniemożliwiając walkę na ziemi, ani serce piechura nie wytrzymało śmiertelnego pojedynku z silnikiem.

To jest *trzecia i ostatnia przyczyna* przegranej kampanii, ale podstawowa przyczyna, że kampania została tak szybko przegrana.

W tych warunkach jest rzeczą dosyć obojętną, jaki był plan operacyjny, skoro niewspółmierność sił uczyniła walkę niemal niemożliwą. Natomiast nie jest rzeczą obojętną, jaki był plan mobilizacyjny, gdyż od tego zależało, czy w ogóle kampania miałaby miejsce. Zaczniemy więc od niego.

B. Plan mobilizacyjny

Plan mobilizacyjny /1938 r./, tak zwany plan "W" — polegał na tym, że około 75% mobilizowanych można było powołać do szeregów indywidualnymi kartami, bez konieczności plakatowania. Dopiero resztę mobilizowanych rezerwistów trzeba było powoływać przez ogłoszenie mobilizacji powszechnej.

Plan był bardzo elastyczny. Umożliwiał mobilizację poszczególnych części Sił Zbrojnych /jednostek, garnizonów/. Dzięki tym jego zaletom dokonano częściowych mobilizacyj w okresie zagrożenia /wojny nerwów/. Sprawiło to, że jednostki w danym czasie zmobilizowane a w większości swej skoncentrowane mogły podjąć walkę. W przeciwnym razie, gdyby *całość* sił była mobilizowana w Mob. powszechnej — mógł przeciwnik, który swoją mobilizację przeprowadził w sposób cichy — rozpocząć działania w momencie ogłoszenia naszej Mob. powszechnej.

W takim wypadku działania mogły były być zakończone w kilka dni gdyż niemieckie lotnictwo i dywizje pancerne zdezorganizowałyby nasze wojsko w trakcie mobilizacji, w garnizonach. Żadna osłona nie była w stanie temu zapobiec.

Na korzyść naszego planu "W" trzeba jeszcze zapisać, że mobilizowane według niego jednostki miały w magazynach broń i ekwipunek. Uniknął on błędu planu "S" robionego na wyrost.

Możliwość przeprowadzenia mobilizacji 75% sił w sposób cichy i elastyczność tego planu również w pewnym stopniu rehabilitują naszą myśl strategiczną. Nie daliśmy się całkowicie zaskoczyć przez niemieckie działania. Przeprowadzenie Mob. 100% naszych sił w sposób cichy /kartkowy/, rzecz oczywista, poprawiłby jeszcze ten stan, przedłużając nieco kampanię.

WNIOSKI KOŃCOWE

Słabość organizmu politycznego Polski i jej słabość gospodarcza oto podstawowe przyczyny przegranej kampanii. Wadliwa myśl strategiczna była przyczyną, że kampania została tak *szybko* przegrana. Nie łudźmy się jednak, że nawet najbardziej nowoczesne ale miniaturowe siły zbrojne, proporcjonalne do potencjału politycznego i gospodarczego byłyby w stanie zwycięsko wyjść z kampanii z taką potęgą, jaką przedstawiała hitlerowska Rzesza niemiecka.

Wnioski ostateczne przedstawiają się same przez się:

Dzisiaj, gdy strategia urosła do rozmiarów kontynentalnych, rozważania powyższe mogą wydawać się nikłej skali i mało ważne. Tak nie jest. Wydaje mi się, że jak na nasze możliwości i stawiane nam utrudnienia staraliśmy się do ostatka spełnić swe historyczne zadanie obrońców Wolności i Pokoju.

W dobie, gdy dąży się do osiągnięcia trwałego pokoju drogą organizacyj światowych, jest rzeczą konieczną, by świat zrozumiał, że pokój może być osiągnięty trwale, jeśli Polska i Małe Narody znajdą swe należne miejsce w środku Europy w sposób, którego przykład bez agresji dała Polska na swoim szlaku historycznym.

HENRYK PIĄTKOWSKI

W następnym numerze "Polski Walczącej" zostaną przedstawione rozważania, związane z polskim zachodnim planem operacyjnym, stanowiące dalszy ciąg niniejszego artykułu.

W sobotę dnia 1 września 1945 r. o godzinie 4-ej po południu w Caxton Hall przy Caxton Street, S.W.1. odbędzie się

UROCZYSTY OBCHÓD

w szóstą rocznicę najazdu na Polskę

Przemawiać będą:
ZYGMUNT BEREZOWSKI, MARIAN KUKIEL, BRONISŁAW KUŚNIERZ, ADAM PRAGIER.

Do wzięcia udziału w obchodzie wszystkich Polaków zaprasza Komitet Obchodu.

Dojazd koleją podziemną do stacji St. James' Park.

Przegląd tygodniowy

PIERWSZY SUKCES

Najbardziej interesującym i znamiennym wydarzeniem ostatnich dni jest bodaj odłożenie wyborów w Bułgarii. Jest ono wynikiem kategorycznego stanowiska rządów W. Brytanii i St. Zjednoczonych, które zdecydowanie potępiły tę "demokrację" wschodniego typu i zapowiedziały, że rządu z takich wyborów wyłonionego nie uznają.

Rząd bułgarski w pierwszej chwili nie wziął protestu poważnie i obwieścił, że wybory nie będą odłożone. Czuł się silny naskutek poparcia sowieckiego, które znalazło wyraz zarówno w głosach prasy sowieckiej miarodajnie stwierdzającej, że "demokracja" triumfuje w Bułgarii, jak w nawiązaniu stosunków, a wreszcie w "zwolnieniu" słynnego działacza Kominternu Dymitrowa z funkcji wiceprzewodniczącego najwyższego Sowietu i z . . . obywatelstwa sowieckiego, tak aby mógł wziąć udział w wyborach bułgarskich. Jednakże w ostatniej chwili przedstawiciel sowiecki w komisji sojuszniczej przechylił się na stronę swych kolegów anglosaskich i rząd bułgarski zawisł w próżni.

Nie wnikając w powody ustępstwa sowieckiego w sprawie Bułgarii i jego związku z ogólną zmianą układu sił w świecie w ostatnich trzech tygodniach, trzeba stwierdzić, że w walce o demokrację w Europie wschodniej odniesiono pierwszy sukces. Nie spełniły się krakania czarnowidzów, które głosiły, że wybory odbędą się pomimo protestu amerykańskiego.

Ale oczywiście zmuszenie do odwołania niedemokratycznych wyborów jest sukcesem negatywnym. Prawdziwym sukcesem będzie dopiero zmuszenie do odbycia wyborów demokratycznych. Władcom Bułgarii i innych krajów Europy wschodniej nie zależy wcale na wyborach. Im ta komedia nie jest potrzebna. O co im chodzi, to o utrzymanie władzy w rękach komunistycznej grupki wbrew woli olbrzymiej większości. Walka o obalenie nowego totalizmu dopiero się więc zaczyna.

Niepodobna wątpić, że W. Brytania i St. Zjednoczone nie zadowolnią się tym wstępnym powodzeniem, lecz domagać się będą — w Bułgarii i gdzieindziej — na prawdę demokratycznych wyborów i powstania rządów reprezentatywnych. Ich zmienione stanowisko już odbiło się na sytuacji w Europie wschodniej. Król Michał zażądał dymisji rządu Grozy, narzuconego Rumunii przed kilku miesiącami przez Sowiety i popularnie zwanego w Rumunii "rządem Wyszyńskiego". Gdy Groza odmówił, król nie wahał się apelować do wielkich mocarstw, by mu dopomogły — jak obiecały w Jałcie — utworzyć rząd naprawdę reprezentatywny. W. Brytania i St. Zjednoczone są do tego gotowe, Rosja jeszcze nie wypowiedziała się, ale chwali bardzo reżym Grozy, jak chwaliła totalizm bułgarski. Może i tu jednak zmieni zdanie, podobnie jak je zmieniła w sprawie bułgarskiej.

Sprawa jugosłowiańska jeszcze nie figuruje oficjalnie na porządku dziennym, ale szybko dojrzewa do kryzysu. Ustąpienie "jugosłowiańskiego Mikołajczyka" — dr. Grola ze stanowiska wicepremiera jest wskazówką, że nadzieje pewnych kół na ułożenie się współpracy z Tito były co najmniej naiwne.

Trzeba się spodziewać, że nalegając na odbycie wszędzie wyborów demokratycznych mocarstwa zachodnie domagać się będą kontroli międzynarodowej. W Grecji kontrola taka jest już zapewniona. Nie weźmie w niej udziału Rosja, która twierdzi że kontrola byłaby "sprzeczna z suwerennością narodową". Jest rzeczą oczywistą, że Sowiety po prostu bały się precedensu dla wyborów w swojej strefie, wiedzą bowiem, że w naprawdę wolnych, przez mocarstwa kontrolowanych wyborach komuniści poniosą katastrofalną klęskę. Jednakże wypadki bułgarskie świadczą, że Rosja nie czuje się już na siłach postawić na swoim.

POLITYKA P. BEVINA

Sprawy te łączą się, rzecz jasna, najściślej z całokształtem stosunków pomiędzy wielkimi mocarstwami. Coraz wyraźniej zarysowuje się starcie dwu koncepcji życia międzynarodowego — demokratycznej i totalitarnej. Ostatnie dwie debaty w nowej Izbie Gmin świadczyły, że Wielka Brytania pomimo wielkich kłopotów wewnętrznych zaczyna sobie zdawać sprawę z wielkiej szansy stanięcia na czele sił postępu w walce o nowe formy życia społecznego i międzynarodowego. Silnie zarysowała się opozycja wobec pomysłów stref wpływów, górowania wielkich mocarstw, usymbolizowanej przez veto w Organizacji Zjednoczonych Narodów oraz dążenia do ograniczeń suwerenności narodowej na rzecz organizacji międzynarodowej. Nadewszystko zaś jasno wystąpiło dążenie do zerwania tej żelaznej kurtyny, którą Rosja zawiesiła pośrodku Europy.

W osobie p. Bevina W. Brytania uzyskała bodajże najwybitniejszego ministra spraw zagranicznych od wielu lat. Nie ulega wątpliwości, że p. Bevin wie czego chce. Odrzuca totalizmy, nie chce stref wpływów, nie obawia się wytknąć jako ostatecznego celu — rząd światowy oraz zjednoczenie Europy.

Nic bodaj nie było równie znamienne, jak furia jaką mowa p. Bevina wywołała u wszystkich komunistów i ich sympatyków — tu w W. Brytanii, w Ameryce i wszędzie w Europie. Bardzo mało brakuje by p. Bevin nie został okrzyczany "faszystą". Stara to prawda, że nikogo komuniści tak nienawidzą, jak prawdziwych socjalistów. Leon Blum, Bevin, Arciszewski, Jugosłowianin Topalewicz — to tylko parę przykładów z ostatnich czasów.

Prasa, ukazująca się w Polsce niemiłosiernie mowę Bevina okaleczyła. Zniknęło z niej wszystko, co mogłoby dodać otuchy krajowi wierzącemu, że wywalczy sobie wolność.

W. BRYTANIA I POLSKA

Nie znaczy to oczywiście, by z naszego punktu widzenia mowa ministra spraw zagranicznych W. Brytanii nie nastręczała zastrzeżeń. Choć powszechnie wiadomo, że w Polsce tak samo nie ma wolności politycznej, jak w Rumunii, Bułgarii czy na Węgrzech, p. Bevin nie wymienił Polski wśród krajów, którym narzucono system totalitarny. Rząd brytyjski, tymczasem przynajmniej, bierze obietnice obecnych władców Polski za dobrą monetę i wierzy w wolne wybory oraz przywrócenie swobód obywatelskich.

Niewątpliwie, w parze z tym idzie wyraźne ostrzeżenie, że jeżeli obietnice nie będą dotrzymane stanowisko Wielkiej Brytanii ulegnie zmianie. Wydaje się, że rząd brytyjski pragnie dać parę miesięcy reżymowi warszawskiemu na dopełnienie tych przyrzeczeń.

Łączy się to zapewne z ogólną dążnością skłaniania Polaków, by już teraz powracali do Polski. Apel tego rodzaju w przemówieniu p. Bevina był wyraźny. Z różnych jednak wypowiedzi i posunięć można wnosić, że rząd i społeczeństwo brytyjskie doskonale rozumie, iż Polacy zagranicą — zarówno wojskowi, jak i cywilni — wolą zaczekać z decyzją aż do chwili, gdy powrót mógłby nastąpić do Polski wolnej, czyli do wyborów i powołania w ich wyniku rządu naprawdę reprezentatywnego. O zrozumieniu sytuacji świadczą nie tylko głosy prasy szkockiej, która wykazuje dużą sympatię dla obaw i trosk żołnierza polskiego, ale również sposób postawienia sprawy powrotu przez władze brytyjskie w Niemczech. Ludność polska w Rzeszy została powiadomiona, że będzie zapytana czy chce wrócić do Polski w obecnych warunkach i że jeżeli odpowie odmownie, uzyska w przyszłości sposobność ponownego powzięcia decyzji. W ten sposób pogróżki różnych wysłanników z Warszawy jakoby ci, którzy teraz odmówią powrotu, nigdy już nie mogli wrócić, spalają na panewce.

W świetle ostatnich wydarzeń widzimy, że musimy uzbroić się w cierpliwość na dalszych kilka miesięcy. Wykażą one, czy mocarstwa Zachodu są zdecydowane wymusić — w Polsce i w całej Europie wschodniej — naprawdę wolne wybory, któreby przyniosły całkowitą odmianę sytuacji.

ROSJA PRZEGRAŁA W CHINACH

Nie tylko wydarzenia na Bałkanach wskazują na zmianę sytuacji i układu sił w świecie. W większym jeszcze stopniu dowodzą tego wypadki na Dalekim Wschodzie.

Warunki traktatu chińsko-sowieckiego są tego rodzaju, że jeszcze miesiąc temu nikt nie uważałby ich za możliwe. Rosja zobowiązuje się do natychmiastowej niemal ewakuacji Mandżurii, która wraca do Chin. Milczenie na temat wewnętrznej Mongolii rozstrzygnie plebiscyt. Korzyści jakie osiąga — kolej mandżurska i baza w Port Arthur — Rosja mogła mieć bez udziału w wojnie. Co najważniejsze może, Moskwa wyrzeka się popierania komunistów chińskich i obiecuje pełne poparcie rządowi Cziang-Kai-Szeka, wczoraj jeszcze atakowanego za "faszyzm" narówni z rządem polskim w Londynie czy gen. Michajłowiczem.

Wszystko to wskazuje, że Rosja uznała przeprowadzenie swego programu, zmierzającego do oderwania od Chin szeregu terytoriów z Mandżurią na czele, przekształcenia ich na sowieckie protektoraty, oraz narzucenia wreszcie Chinom "chińskiego Lublina" za niemożliwe. Doszła do wniosku, że nie może ryzykować dziś konfliktu z Ameryką.

Komuniści chińscy odrazu spuścili z tonu i wyrazili gotowość nawiązania rozmów z rządem centralnym, choć jeszcze parę dni temu odrzucali zaproszenie Cziang-Kai-Szeka. Groźba wojny domowej, jeszcze przed tygodniem bardzo poważna, dziś niknie. Cziang-Kai-Szek święci jakże zasłużony triumf.

Nie zazdrośćmy Chinom, że uniknęły losu Polski. Raczej wyciągnijmy z wydarzeń na Dalekim Wschodzie pokrzepiający wniosek, że najczarniejsze chmury mogą się niespodziewanie rozproszyć. I że sytuacja na świecie wciąż się zmienia — przy czym teraz zmienia się na lepsze.

ŻYWNOŚĆ I WOLNOŚĆ

Mowa była dotąd o pomyślnych wydarzeniach ostatniego tygodnia. Ale są też do zanotowania wypadki mniej pomyślne. Do nich zaliczyć trzeba zwłaszcza kryzys w stosunkach anglo-amerykańskich na tle nagłego przerwania dostaw z tytułu *Lend-Lease*. Wszystko bowiem co osłabia solidarność anglo-amerykańską jest wysoce niepożądane.

Oczywiście oddawna było wiadome, że *Lend-Lease* skończy się wraz z wojną. Sęk w tym, że wojna skończyła się tak nagle i znacznie wcześniej, niż się spodziewano, wskutek czego pokój zastał narody anglosaskie równie nieprzygotowane, jak ongiś wojna.

O co chodzi? Na mocy *Lend-Lease* W. Brytania, jak i inne narody, otrzymywała od Ameryki żywność, surowce i t.d. Miała to wszystko zwrócić w przyszłości w naturze, tak iż nie powstałaby sprawa długów wojennych, które po porzedniej wojnie zatruwały stosunki międzynarodowe. Teraz Ameryka chce dalej dostarczać żywności i surowców, ale za zapłatą, nie żądając zresztą gotówki, i udzielając kredytu na 30 lat. W. Brytania, która i tak jest bardzo zadłużona, nie chce jednak zaciągać nowych długów. Płacić zaś będzie mogła dopiero, gdy uruchomi swój eksport, co wymaga czasu.

Brytyjczycy twierdzą, że zanim nie nastąpi powrót do normalnych warunków produkcji wszyscy sojusznicy powinni sobie pomagać. Niewątpliwie mają dużo racji. Faktem jest, że ofiary Wielkiej Brytanii były znacznie większe, aniżeli Ameryki; Wielka Brytania wychodzi z wojny zrujnowana.

Brytyjczycy doznają obecnie tego samego, czego niedawno doznaliśmy my, Polacy: sojuszniczej niewdzięczności. My wzamian za nasze ofiary otrzymaliśmy od sojuszników niewolę polityczną. Wielkiej Brytanii grozi teraz niewola finansowa.

Jednym ze skutków tych wydarzeń będzie, że Wielka Brytania większą niż kiedykolwiek wagę przywiązywać będzie do zdobycia rynków zbytu. Powinno to doprowadzić do zrozumienia, że W. Brytania może istnieć tylko w świecie wolnym i że jeżeli ma mieć możność sprzedawania swych towarów, za które kupuje żywność niezbędną to muszą paść bariery odcinające dziś dużą część Europy od zachodu.

Zerwanie żelaznej kurtyny rozdzielającej Europę na dwie części jest więc równie konieczne dla dobrobytu Wielkiej Brytanii, jak dla pokoju i bezpieczeństwa świata.

Londyn 26 sierpnia 1945

ALEKSANDER BORAY

Nowości lotnicze

W roku 1912 lotnictwo było w modzie. Było to właśnie po przelocie Bleriota, a bodajże także po przelocie Paryż — Warszawa /przy sześdziesięciu między-lądowaniach, mówiąc między nami/. Ukazało się wiele książek na temat przyszłości lotnictwa. Zabrali głos nawet tacy potentaci pióra, jak Wells.

Polska też nie pozostała w tyle. A. Szczepański, inżynier z zawodu, później zasłużony badacz zjawisk aerodynamicznych, napisał i wydał w tymże 1912-ym roku fantazję: "Król Powietrza". Była to arcyromantyczna historia pewnego Polaka, który zdołał wynaleźć /wszystkim się wówczas wydawało, że sprawa idealnej maszyny do latania, to kwestia nagłego wynalazku/ — helikopter. Ów helikopter unosił w powietrze dwóch ludzi, wielkie zapasy paliwa oraz w razie potrzeby bomby.

Wynalazca, mając tak wspaniałą broń w swym ręku, wraz ze swą narzeczoną Haliną, wypowiedzieli sobie na własną rękę wojnę — cesarstwu niemieckiemu. Przy moralnej pomocy Francji, ale zresztą całkowicie samodzielnie, przez umiejętne bombardowanie tylko, zdołał wynalazca zmusić Wilhelma II-go, jego sztab generalny i w ogóle wszystkie siły zbrojne Niemiec do poddania się. Świat wstrząśnięty do głębi takim przebiegiem sprawy, zwołał czym prędzej konferencję międzynarodową. Na tej konferencji zawiązała się organizacja podobna do późniejszej Ligi Narodów, kierowana centralnie, do której weszły wszystkie bez wyjątku narody świata. Na czele organizacji jako Prezydent wszechświatowego związku narodów stanął naturalnie wynalazca. Siła przyciągająca związku międzynarodowego polegała na posiadaniu skutecznego środka do utrzymania międzynarodowego pokoju: był to właśnie ów wspaniały helikopter, napełniony bombami.

Wielka literatura, i literatura fachowa potraktowały książkę Szczepańskiego pobłażliwie. Zaszeregowano Szczepańskiego obok Vernego. Jednak młodzież rozczytywała się w "Królu Powietrza", rozczytywała się w Wellsie, w majorze Faberze, w Vernem wreszcie. Gdy zaczęła dorastać, zaczęła się też zastanawiać, czy rzeczywiście nie można zamienić fantazji w rzeczywistość. Idąc po takiej drodze, już u progu stulecia, doszła do wyników tak nieprawdopodobnych, że przerosły one wszelkie fantazje.

Obie wielkie wojny światowe wykazały jasno, że człowiek to stworzenie ogromnie odporne i wytrwałe. W miarę rozwoju środków mordu i zniszczenia rosła tylko, zamiast się umniejszać, jego odporność. Ujęty w odpowiednie karby wychowania potrafił nawet w końcu wypruć z siebie instynkt samozachowawczy. Stało się jasne, że gdy jakiś naród jest zdecydowany walczyć do upadłego, żadnymi dotychczas znanymi środkami niszczącymi pokonać go nie można. Dopiero wobec zastosowania takiego środka, któryby cały naród postawił przed groźbą całkowitego wyniszczenia, bez żadnych szans oporu, musi on ulec. Szukano takiego środka. Okazała się nim bomba atomowa, Jej siła niszcząca jest olbrzymia, bowiem nie jest niczym innym, jak sztucznym wywołaniem katastrofy kosmicznej.

Jesteśmy świadkami zjawiska graniczącego z cudem: dwie małe bomby, zrzucone przez dwa pojedyńcze samoloty, zdołały zmusić olbrzymią potęgę o stu milionach obywateli, ogromnie zdyscyplinowaną, o wysokim moralu, rozporządzającą doskonale uzbrojoną armią lądową, odważnym aż do szaleństwa lotnictwem, posiadającą wszelkie szanse skutecznej obrony, o położeniu geograficznym lepszym, niż położenie Wielkiej Brytanii—do bezwarunkowej kapitulacji w ciągu niecałych dziesięciu dni od chwili ataku. Było to zrealizowanie fantazji Szczepańskiego, co prawda za drogą cenę 400,000 zabitych i rannych.

Jeszcze miesiąc temu panował ogólny pogląd, że w najlepszym razie, przy zdecydowaniu się na wielkie krwawe ofiary ze strony nacierającego, przy posiadaniu pełnej przewagi w powietrzu i na morzu, Japonię zdoła się pokonać dopiero na wiosnę 1946 roku. Japonia padła jednak w trzy miesiące po poddaniu się Niemiec. Wojna światowa została zakończona po sześciu latach śmiertelnych zmagań.

Rozważając skutki, jakie wywołała ta broń, na samą myśl o tym, że mogłaby się znaleść w niepowołanych rękach, każdego myślącego człowieka przenika dreszcz i przerażenie. Wiadomo już dzisiaj, że Aliantów wyratował tylko cud. Niemcy byli u progu praktycznego wprowadzenia w życie tego wynalazku. Dlatego Hitler aż do ostatniej chwili był tak pewny zwycięstwa. Niemcom jednak dzięki przewadze lotniczej Sprzymierzonych zabrakło potrzebnych czterech miesięcy czasu, o które uczeni niemieccy błagali Hitlera.

Nic na tym świecie nie dzieje się przypadkiem. To, że broń śmiertelna nie znalazła się w rękach nieprzyjaciół ludzkości, lecz w rękach świata, który przynajmniej z imienia nazywa się chrześcijańskim, w każdym razie w rękach świata zachodniej kultury — jest wyrazem woli wyższej. Ów świat błądził i błądzi. Jest faktem niezaprzeczonym, że narody, które należą do jego wielkiej wspólnoty, jak dotychczas nie dążą do podbojów siłą. Nie jest idealny, lecz w jego ustroju człowiek może jeszcze żyć we względnej wolności, spokojny o przyszłość swoją i swych dzieci. Dlatego nie w tym leży zwycięstwo, że Niemcy są w proszku, ani w tym, że Japonia położyła się na obie łopatki, lecz w tym, że na świat zachodni spada rola organizowania przyszłości człowieka na całym globie ziemskim. Jeżeli jednak ten świat ulegając swym materialistycznym dążeniom swój miecz iście archanielski ze swych rąk odda, lub tanio sprzeda — będzie się to równać ostatecznemu tego świata zatraceniu.

Trudno się zapuszczać w tej chwili w labirynt proroctw co będzie i jak będzie. Choćby rozważać, jakimi drogami pójdzie rozwój samej istoty wynalazku. Czy węgiel i nafta będą dalej czołowymi bogactwami narodów, czy też ich wartość zaniknie, wobec nowo odkrytej energii? Mamy tymczasem do czynienia z fantastyczną siłą niszczącą. Przekształcenie jej na energię twórczą — wymagać będzie rozpowszechniania istoty wynalazku.

To się jeszcze w tej chwili stać nie może. Co więcej: nie powinno się stać prędko. Ani narody, ani jednostki nie są jeszcze dojrzałe do jednolitego pojmowania obowiązków człowieka i społeczeństwa na ziemi. "Rozbijcie pierwszy atom, a rozbiję cały glob ziemski" — rzekł jeden z francuskich uczonych. Tego rodzaju kosmiczne samobójstwo teoretycznie jest dzisiaj możliwe.

Do czego to jednak prowadzi? . . Co się dalej stanie? . . . Każdy z nas powinien postawić sobie to pytanie. Wierzmy, że prowadzi to do lepszego życia na ziemi, lecz równocześnie nie wierzmy nikomu . . .

Dwie bomby atomowe zrzuciły dwa pojedyńcze samoloty. Użycie tych bomb nie tylko nie umniejszyło, lecz raczej podkreśliło jeszcze rolę lotnictwa w sprawach pokoju i wojny. Zdaniem kompetentnych uczonych wiele jeszcze wody upłynie nim pociski atomowe będzie można posyłać na cel przy pomocy bomb latających czy rakiet w rodzaju V2. W tej chwili i na długi czas przyszły z rozmaitych względów technicznych bomby atomowe wyrzucać będzie samolot . . .

Zasięg samolotu wzrósł ogromnie. Niektóre typy mogą przelatywać dzisiaj trasę Londyn-New York i z powrotem bez lądowania. Nawet z ładunkiem bomb. Sprawa zdwojenia zasięgu jest sprawą względnie łatwą, biorąc pod uwagę wymiary i wagę nowego pocisku, biorąc pod uwagę i ten fakt także, że na osiągnięcie potrzebnego wyniku wystarczy tylko jeden pocisk.

Należy przypuszczać, że wkrótce z szeregów lotnictwa wojennego znikną fortece czy nadfortece. Samolotem bojowym będzie myśliwiec, o bardzo wysokim pułapie, o olbrzymiej szybkości, nieuzbrojony, lub uzbrojony bardzo słabo, o minimalnej załodze 2-3 ludzi.

Przed flotą kilkudziesięciu takich samolotów nie ostoi się nic. Obrona przeciw nim jest w tej chwili praktycznie niemożliwa. Życie zniknie z powierzchni ziemi, nad którą przeleci taka szarańcza. Dodać należy, że przeciw niszczącej sile nowej bomby nie bronią nawet najgłębsze schrony, bowiem podmuch oraz temperatura przenika wszędzie, zabijając i paląc wszystko, co żyje. Poza tym mała odmiana w budowie bomby, spowodowanie jej eksplozji przy zetknięciu się z ziemią, przy nadaniu jej dużej siły przenikania w głąb i zwiększeniu siły wybuchowej — i już dziś można wywoływać lokalne trzęsienia ziemi.

Wydaje się tedy, że w obliczu tego wynalazku wszelkie wojny staną się niemożliwe. Ludzkość stanęła wobec konieczności zorganizowania nowych zasad życia międzynarodowego i to na skalę wszechświatową. Lecz jeśli się tak nie stanie? . . .

M. J. GORDON

Pierwszy Dzień Brygady

Budzik ryczał jak szatan. Otwierałem zaspane oczy z trudem, lecz bez patrzenia na zegarek wiedziałem, że jest trzecia nad ranem. Wstawałem tak od tygodnia idąc spać o dwunastej w nocy. Tym razem coś w moim mechanizmie zawiodło. Pamiętam, że trzymałem w ręku budzik wskazujący dokładnie trzecią, usiadłem na łóżku i sięgałem po skarpetki. Znagła obraz się zmienił jakby w kinie. Żołnierz trząsł mnie za ramię: — "Panie kapitanie . . . już czwarta godzina". — Budzik zgadzał się z tym najzupełniej.

Wskakiwałem w mundur klnąc słabość natury ludzkiej. Nie myjąc się i nie goląc, porwałem czapkę i wybiegłem na dwór. Łazik już czekał. Pędziliśmy na lotnisko. Gdzieś za lasem przeświecało soczyście i seledynowo wschodem. Trawa była srebrna. Gdy przystanąłem przy patrolu ciągnącym linię telefoniczną, słyszałem poprzez meldunek kaprala, jak w lesie świergocze rozbudzone ptactwo. Za chwilę szum silnika i rozcinanego jazdą powietrza zagłuszył mowę lasu.

Na lotnisku nie było nic do roboty. Już wczoraj wszystko zapięto na ostatni guzik. Samoloty napełnione paliwem i amunicją poprzysiadły zaczajone pomiędzy chojakami. Przy ścinaniu takiego chojaka sierżant M. zaciął sobie paskudnie rękę. — "Nagła krew! — mówił zmartwiony jadąc do szpitala. — Nie mogło to się drańsłwo wydarzyć ani wcześniej, ani później, ino akuratnie, jak się zbiera na wojnę".

W maszynach alarmowych siedzą przypasani piloci w pełnym ekwipunku. Śpią. Głowy schylone na piersi lub na oparcie spadochronu. Mechanicy dyżurni śpią pod samolotami także.

Niebo zapala się opalem; dyszy przestrzenią i głębokością. Jest soczyste i dziewicze. Cienki parawan stratocumulusów leży w jednym miejscu jak płótno rozpostarte na wygonie do bielenia.

—"Będzie gorący dzień — mówi Zdzisław. — Dałbym sto złotych za prawdziwą wróżbę czy wojna będzie czy się rozwieje w powietrzu" — dodaje.

Myślę mniej więcej to samo co on.

—"Nie wierzę w wojnę — odpowiadam — bo ani Naczelny Sztab ani GISZ w nią nie wierzą, ale mój ojciec twierdzi, że wojna będzie".

—"To znaczy, że twój ojciec ma konszachty albo z Hitlerem albo z Panem Bogiem" — mówi Zdzisław.

Po powrocie do sztabu mjr. Wyrwicki podaje mi bez słowa kartkę. Czytam: *"Komisariat policji Suwałki. Na całym odcinku komisariatu nacierają Niemcy. Armia regularna"*.

Przypomina mi się historia z budzikiem. Sen czy jawa!

—"Pilnować mi tego meldunku jak oka w głowie — troszczy się Wyrwicki. — To jest dokument historyczny".

—"Stało się — myślę. — Już ani Chamberlain, ani Henderson, ani nawet Hitler nie odmieni biegu wypadków".

Po chwili nadchodzą dalsze meldunki. "Na Modlin zrzucono sześć bomb".

Ppłk. Pamuła mówi:

—"Bujda!"

Biegnę do telefonu sprawdzić. Odbiera jakiś kapitan. Głos przejęty i śmiertelny. Prawda. Modlin zbombardowany. Biała Podla ska się pali. Radio podaje: "Zarządzam w całym kraju alarm opl. Nieprzyjaciel działa lotnictwem wszędzie, zwłaszcza jednak od strony Słowacji".

Nikt z nas ze sztabu Brygady nie jadł tego ranka śniadania. Wiadomości napływały co minutę. Sypały się. Porażały nas swoim ciężarem, swoją obfitością.

Sieć dozorowania działała doskonale. Tyle a tyle samolotów. Taka a taka wysokość. Nad Lublinem. Nad Działdowem. Nad Grodnem. Nad Dęblinem. Nad Piotrkowem. Podawano również kierunki. O godzinie 6.30 przyszła Mława z masą samolotów w kierunku południowym. Wiedzieliśmy, że to na Warszawę.

W międzyczasie warstwy chmur rozpełzły się na całe niebo i zeszły niżej podsycając się cieniem. Alarmowałem obydwa lotniska: "Już niedługo się zacznie. Bądźcie w pogotowiu". Byli i bez tego w czujności, podobnej do tej, w jakiej jest dziki zwierz gotowy do skoku.

O 6.50 dowódca Brygady zarządził start obu dywizjonów. O 7,00 usłyszeliśmy masę samolotów nad naszymi głowami. Nie był to głos jaki wydają silniki "P.11". Nalot szedł nad chmurami, więc z ziemi nic nie było widać, ale powietrze przelewało się i kipiało od szumu. Dywizjon najpierw III, potem IV zameldowały przez radio, że widzą dużo "Sów". "Sowa" według kodu to — nieprzyjacielski bombowiec.

Dyony idą do ataku. Słyszymy wysokie dźwięki silników. To nasi. Słyszymy karabiny maszynowe. Zaczynają tu i tam rozmowę krótkimi seriami jakby ukradkowo, potem serie rozciągają się w czasie, rozszerzają się w przestrzeni aż całe niebo zaczyna żyć zaciekłym i zajadłym ich warkotem, wibrować ich napastliwą nutą. Niebo pulsuje dźwiękiem toczącej się walki.

Od dwóch godzin wiedziałem, że jest wojna, ale dopiero teraz zaczynam sobie powoli uświadamiać całe znaczenie tego. Ten głos karabinów maszynowych tak doskonale znany z poligonu, ma dziś zupełnie inny wyraz. Tam nad chmurami są w tej chwili dziesiątki ludzi i piorą do siebie jak do tarczy. Szukam określenia na uczucie, które we mnie wyrasta i nie mogę znaleść. Ani zgroza, ani strach, ani ciekawość. Głupie, mdłe uczucie. Dlaczego w tej chwili siedzę na ziemi a nie tam w powietrzu? Czy to moralne?

Jazgot karabinów oddala się pomału na południe i zamiera. Potem tu i tam odżywają sporadyczne głosy walki. Z chmur wysypują się punkciki. Ten pierwszy na przedzie to "Heinkel", te dwa za nim to "P.11". Odległość goniących od uciekającego stopniowo się zmniejsza, ale "Heinkel" ucieka znowu w chmury. Tamci idą za nim. Słychać znowu natarczywe, krótkie serie, ale rezultat jest niewidoczny.

W stronie Warszawy zaczyna się ciężkie miarowe dudnienie gęstych salw. Bomby. Baterie artylerii zenitowej grzmią raz po razie, ale bezskutecznie.

Po godzinie pierwsze wiadomości. Por. P. podaje ze szpitala, że zestrzelił jednego "Heinkla 111", a sam został zestrzelony przez drugiego. Jadę motocyklem na poszukiwania. Ludność cywilna, jeżeli chodzi o informacje, nie lepsza od baranów. Albo nic nie wiedzą, albo podają fantastyczne i nieprawdziwe wiadomości. Gdy się zapyta dziesięciu, by z ich odpowiedzi ułożyć syntezę, zamiast do syntezy można dojść do szpitala wariatów. Najlepiej mi się podobał poczciwy z wyglądu chudopachołek jadący na worach w stronę Warszawy.

—"Czy to prawda, że w tamtej stronie — pokazywałem na północ — spadł niemiecki samolot?"

—"Niemiecki! — zapytał ze zdumieniem — A co on by tu robił?" W ogóle nie wiedział, że jest wojna.

Z trudem odnalazłem samolot por. P. Dostał dwa postrzały z działka w skrzydło i stery. Kadłub posiekany odłamkami świeci na wylot jak rzeszoto. Pilot ranny w rękę lądował przymusowo napoprzek bruzd, przez miedzy i zagony, więc położył się na plecy.

Urwana łączność z IV dywizjonem.

O godz. 12.00 znowu nalot kilku samolotów. Nasz klucz dopada "Dorniera 215". Przejeżdżają się po nim wszyscy. "Dornier" staje w płomieniach i rozlatuje się w powietrzu w pobliżu Wilanowa tak, że wybuch wbija części niemieckiego samolotu w samolot ostatniego z atakujących por. Okrzeję.

O godz. 13.00 wraca z Warszawy por. G. Dużo ludzi zapatruje się jeszcze na masy samolotów nad głowami, jak na manewry, czy też ćwiczenia przygotowawcze. Cały zgiełk walki włącznie z bombami na Okęciu uważają oni za ślepą amunicję.

Pamuła cieszy się z wojny, jak dzieciak. Jeszcze wczoraj w obawie, że wkońcu przygoda się rozwieje, porobił zakłady, że wojny nie będzie. Dziś przegrał ponad setkę, ale dobry humor, który ma, jest wart więcej.

O godz. 18.00 nieprzyjaciel robi gwiaździsty nalot na Warszawę z trzech kierunków. Niebo jest już zupełnie czyste. Eskadra dwusilnikowych bombowców przepływa ciężko na wysokości 3.000 metrów nad nami. Działko w pobliżu kwatery sztabu zaczyna strzelać nerwowo, plując zajadle świecącymi kawałkami, które nie dolatują nawet do połowy wysokości bombowców.

—"Zastrzeliłbym tego idjotę z zimną krwią — mówi dowódca Brygady. — Poco on psuje amunicję!"

Nad bombowcami węszą i szperają wrzecionowate srebrne rekiny. To "Me 109". Teraz czuję trwogę — wyraźną, dosadną trwogę. Rekiny poruszają się w powietrzu jakby nie napotykały żadnego oporu. Ta straszna szybkość, do której oko nie jest jeszcze przywykłe — przeraża. Jakże daleko do niej naszym "Jedenastkom". Jakież nierówne, tragiczne szanse. Bezsilna, czarna rozpacz leży w sercu, jak kamień.

A oto właśnie na piętach, a raczej pod piętami wyprawy idą "Jedenastki" dzwoniąc całą mocą swych stalowych płuc. Pną się do góry jak tylko mogą. Zdobywają wysokość i odległość metr po metrze, ale widać ile to je kosztuje. Dojdą do bombowców, ale gdzieś daleko, poza zasięgiem naszego pola widzenia. Dojdą, napewno dojdą. Pójdą do walki jak jeden i nikt się z niej nie wycofa, ale co wtedy . . . — "Niech ich Opatrzność ma w swej opiece" — myślę. Ślina gorzko smakuje i w gardle coś zatyka jakby je kneblowano.

Łączności z IV dyonem ciągle nie ma. Okazuje się, że bomby upadły na skrzyżowanie dróg i wywaliły słupy telegraficzne na przestrzeni 150 metrów. Mjr. Wyrwicki prowadzi jakiś czas myśliwców przez radio, lecz gdy walka się przeciąga, wszystko się rozlatuje po całym niebie i łączność się urywa.

Przy wieczornej odprawie sumujemy zwycięstwa i straty. Brygada zestrzeliła 11 samolotów nieprzyjacielskich. Ale straty własne także duże. Szczęściem nie w pilotach, lecz w maszynach. Z pilotów por. Sędzielowski, dowódca eskadry krakowskiej zabity napewno, jeden zaginiony i kilku rannych. Dziesięć własnych samolotów rozparcelowanych na szmelc, lub spalonych. Jedenaście postrzelanych.

Patrzę na obu dowódców dywizjonów jak śmiertelnie znużeni, kiwają się półprzytomni i z trudem sklejają słowa do kupy. Siedzimy przy naftowej lampie, bo dopływ elektryczności przerwany.

W pewnej chwili wchodzi por. Gabszewicz. Ręka na temblaku, włosy na głowie opalone, twarz wysmarowana wazeliną. Walczył z "Me. 109", gdy drugi wjechał mu w ogon i zbliska wygarnął serię. Samolot się zapalił, więc por. Gabszewicz wyskoczył z niego. Do wiszącego na spadochronie pilot niemiecki oddał kilka serii. Identyczny wypadek zdarzył się z por. Szyszką. Postrzelany w nogi leży teraz w szpitalu.

W schematach meldunków bojowych jest rubryka, którą należy wypełnić: "Duch oddziału". W nawiasie idą wskazówki: doskonały, bardzo dobry, dobry, średni, niżej średni. Uwaga: "Niepotrzebne wykreślić". Skreślam to wszystko i piszę: "Połowa pilotów jest niezadowolona, bo nie mogła wziąć udziału w walce".

Wyrwicki czyta to i krzywi się:

—"Pan zawsze musi napisać inaczej, po swojemu".

Podpisuje jednak.

STEFAN ŁASZKIEWICZ

Praca odznaczona w konkursie Związku Dziennikarzy R.P. — na reportaż bojowy.

Jak to się zaczęło?

Służba w marynarce mija na nudnych, jednostajnych konwojach. Trzeba nieraz długo czekać, aby złapać okazję spotkania i walki, a komu się to uda — ten jest szczęśliwcem.

Czasem, gdy w chwili wolnej sięgnę pamięcią wstecz, ogarnia mnie powrotna fala uczuć tęsknoty za krajem ojczystym, który musiałem opuścić, aby wypełnić święty obowiązek nałożony na barki wtedy jeszcze siedemnasto-letniego młodzieńca. Mijam po kolei szereg mniej lub więcej barwnych zdarzeń i faktów — dochodzę do początku. Jak to się wszystko właściwie zaczęło . . . ?

Jestem na wakacjach szkolnych. Zbliża się jesień, polska złota jesień, tu w małej górskiej miejscowości, nieopodal granicy Węgier — pełna słonecznych, pięknych, beztroskich dni. Tu moje młode serce pierwszy raz w życiu zaakcentowało swoje samoistne, od nikogo niezależne ja. Miłość! Ileż pierwszych wielkich radości, ile uniesień! Jedyna troska, że kończą się te dni pełne swobody i szczęścia, że trzeba wracać do Warszawy — na ławę szkolną.

Pomruki burzy politycznej, "wojna nerwów" zbyt długo już trwała, by ją brać poważnie. Pamiętam jak dziś, stoi mi przed oczyma piękny słoneczny poranek, dojeżdżamy do stacji węzłowej — wracam do gimnazjum. Siedzę przy oknie — zamyślony przebiegam wzrokiem po pięknym podgórskim krajobrazie. Wtem — ostry krzyk chłopczyka, siedzącego koło mnie, budzi mnie nagle: "Mamusiu, patrz samoloty, samoloty lecą!"

Spojrzałem w górę. Wzdłuż toru leci sześć maszyn. Jedna z nich pikuje, potem druga, trzecia . . . Ludzie wychylają się z okien, kiwają rękami, chusteczkami, nawet krzyczą. Wtem — o zgrozo! Od płatów odłączają się wąskie strużki ognia karabinów maszynowych. Grad kul zasypuje wagony. Ależ to są Niemcy, widać wyraźnie krzyże na skrzydłach!

Skąd oni tutaj? Czyżby wojna wybuchła? Do rozpalonej głowy cisną się bezładnie pytania. Pociąg stanął. Nie pójdzie już dalej. Maszynista i palacz zabici — zginęli na posterunku. Trzeba wysiadać.

Wiem co robić. Zwracam się do pierwszego napotkanego dowódcy oddziału z prośbą, aby mnie zabrał ze sobą. Niestety słyszę odpowiedź odmowną. Zrozpaczony, rozgoryczony wracam na wieś, do przebywającej tam rodziny.

Do małej miejscowości zaczynają napływać hiobowe wieści. Nieustannie gromadzimy się przy aparacie radiowym, wsłuchując się z drżeniem serca w dumne słowa prezydenta krwawiącej Warszawy: "Warszawy nie oddamy, będziemy się bronić, dopóki nam sił starczy . . ."

Chwilami budzą się nadzieje, by zamrzeć wkrótce w obolałych sercach. Daremne bohaterstwa Gdyni, Westerplatte, Warszawy. Kraj cały ogarnięty łunami pożarów — ocieka potokami krwi. Resztki armii przekraczają granice Rzeczypospolitej. Zaczynają się dni rozpaczy. Obcy obejmują władzę nad naszą Ojczyzną.

W duszy mojej zaczyna się budzić rozpacz i bunt. Dławię się. Z buntu i rozpaczy na przemian z chwilami rezygnacji i apatii, rodzi się świadomość, że tak przecież żyć nie będzie można.

Jedyny dla nas kontakt ze światem to komunikaty radiowe z Londynu. Wiadomość, że armia polska tworzy się we Francji pod dowództwem gen. Sikorskiego rozbudza krew w żyłach. "A więc to jeszcze nie koniec?" Mamy jeszcze jakieś szanse?

W małej miejscowości zaczynają się pojawiać grupki i pojedyńczy ludzie, ukrywający się za dnia po lasach, w ciemne wieczory i noce przekradający się przez granicę, obstawioną placówkami obcych przybyszów ze wschodu.

Rozbudzone nadzieje dojrzewają we mnie w decyzję. Pewnego październikowego wieczoru jak zwykle byliśmy razem przy aparacie radiowym. Przez mikrofon padały twarde żołnierskie słowa: — "Polacy — wszyscy wy, którzy możecie udźwignąć karabin, przekraczajcie granicę Polski!"

Spojrzałem na ojca — łzy mu stanęły w oczach. Zrozumiał . . . Poczyniono szybko przygotowania. W miejscowości ogłoszono, że wyjeżdżam do najbliższego miasta do gimnazjum.

Młody, obdarty i wygłodniały przybysz, który w dwa dni później ostrożnie, późną nocą zapukał do naszych drzwi, okazał się oficerem, przedzierającym się na Węgry. Po serdecznej rozmowie postanowiono, że z nim wspólnie udam się w drogę.

Następnego dnia — wieczorem nadeszła chwila pożegnania. Nie zapomnę jej do końca życia. Matka stoi w drzwiach i błogosławi, choć jej serce mało z bólu nie wyskoczy, twarz spokojna, na której nie pojawił się najmniejszy skurcz. Daje mi obrazek Najśw. Marii Panny. Czuję, że jeszcze parę chwil i sam nie wytrzymam . . .

Odchodzę, a za mną padają słowa ojca: "Pamiętaj, że jesteś Polakiem" . . .

Ogarnia mnie straszna pustka, żal i strach przed czymś nowym, czego jeszcze nie zaznała moja chłopięca dusza. Idę w świat nieznany mi, obcy. Idę na tułaczkę, a przede mną cel wielki, ale jakżeż trudny do osiągnięcia — armia polska.

Noc była ciemna coprawda, ale trzeba było zachować całą ostrożność. Spotkanie przedstawiciela "nowej władzy" nieodzownie zakończyłoby się zamknięciem i natychmiastowym deportowaniem. Wyszedłszy poza ogrodzenie domu naszego, stojącego nad stromym brzegiem rzeki górskiej, natychmiast chyłkiem zeszliśmy po oblodzonych już głazach w dół, w ciemności — chwilami na czworakach — kalecząc sobie ręce o ostre kamyki i suche gałęzie. Będąc już na dole, szliśmy przez czas jakiś wzdłuż koryta aż poza ostatnie domy wsi.

Dziwnie mi serce tłukło w piersiach, jakiś niewypowiedziany niepokój mnie ogarniał — aby tylko poza wieś, aby nie natknąć się w ciemności niespodzianie na jakiś posterunek. Szum rwącej rzeki górskiej tłumił wszelkie szelesty — mimo to stąpaliśmy ostrożnie.

Minąwszy wieś, wspięliśmy się na brzeg i zaczęliśmy podchodzić wprost w górę po stromym spadzie pagórka, wznoszącego się w tym miejscu. Jestem fizycznie dobrze rozwinięty i podejście takie w czasie wycieczki turystycznej było dla mnie zabawką. Teraz jednak — nadmiar emocji i świadomość, że drobny przypadek może zniszczyć osiągnięcie upragnionego celu zapierało mi dech w piersiach. Podchodziłem ciężko, czując łomot bijącego przyśpieszonym tętnem serca.

Okolicę znałem doskonale z turystyki uprawianej w czasie wakacji letnich i wycieczek narciarskich w zimie. Wybraliśmy drogę najtrudniejszą, ale najkrótszą. Najtrudniejszą, bo zmniejszało to prawdopodobieństwo natknięcia się na patrole.

Po drugiej stronie góry u jej stóp płynęła rzeka — potok rwący, który zakrętami swoimi powinien nas był doprowadzić do północnego stoku grzbietu górskiego, wzdłuż którego w tym miejscu ciągnęła się granica. Strumień, miejscami głęboko wryty w teren o stromych brzegach, dobrze nas chronił, ale marsz w ciemności, w zimnej wodzie, po ostrych kamieniach i pokrytych już lodem głazach i śliskich pniach powalonych drzew — szybko wyczerpywał nasze siły.

Wreszcie docieramy do podnóża grzbietu, wznoszącego się przed nami stromym spadem, pokrytym lasem. Wspinamy się w górę, ale marsz uciążliwy i wzruszenia zupełnie mnie osłabiły. Wiemy, że tam na górze czeka nas niebezpieczne przejście, że tam rozstawione są gęsto placówki wroga. Krótka przestrzeń, dzieląca nas od upragnionego celu, zdaje się wydłużać w nieskończoność. Mimo zimnej nocy cały ociekam potem, siły mnie zupełnie opuszczają. Rozpaczliwym wysiłkiem woli wydzieram z swych mięśni resztki sił — pełzając po ziemi, i chwytając się już drzew i gałęzi . . .

Jeszcze chwila — przez nieprzebitą ciemność przeciera z poza rzedniejących pni drzewnych szarawy przedświt . . . to już grzbiet i granica. Cicho . . . ostrożnie . . . każdy trzask łamanej gałęzi może zwrócić uwagę placówki w tej niezmąconej głuszy.

Wreszcie — pomiędzy gałęziami przebija biała plama. To słup graniczny. Za chwilę, jeszcze dziesięć, dwadzieścia metrów — i już wszystko pozostanie za mną.

Biegiem przechodzę przez granicę. Słyszę za sobą krzyk: "stój". To placówka rosyjska, na którą się nieostrożnie wpakowaliśmy. Strach dodaje mi siły, pędzę w dół. Potykam się i padam. Oszołomiony wstaję, nie wiedząc co się ze mną dzieje. Dotykam kości — całe. Zgubiłem czapkę, porwałem ubranie, ale — jestem ocalony.

Przede mną otwiera się nowy rozdział życia.

JĘDRĘK

Przez ulice Warszawy

Noc była wyjątkowo ciężka. Artyleria niemiecka ze wzmożoną siłą biła w centrum Warszawy. Okolica kościoła św. Krzyża, placu Napoleona, Nowego Światu, Brackiej, Smolnej, aż po hotele "Bristol" i "Europejski", drżały od pocisków bijących w mury kamienic. Echo zagłady odbijało się od ścian bombardowanych ulic, potęgując grozę tej dwudziestej szóstej nocy oblężenia.

Przemykając się od bramy do bramy, poprzez podwórka domów połączonych obecnie poprzebijanymi przejściami, czasem przez korytarze mieszkań prywatnych, czasem przez tunele piwniczne, przedostałem się z powierzonego mi stanowiska do domu koło godziny trzeciej w nocy.

Armaty huczały bez przerwy. To tu, to tam odpryskiwał, jak odcięty, balkon ustrojony doniczkami kwiatów. To tu, to tam wykusz domowy zmienił się nagle w czarną poszarpaną czeluść. Czasem rozległ się krzyk. Czasem zadudniły czyjeś kroki, biegnące po pomoc czy opatrunek.

Dobrnąłem do domu. Upadałem ze zmęczenia. Miałem cztery godziny odpoczynku. Nie wolno było tego czasu tracić. Rzuciłem się na ustawione w przedpokoju łóżko. Po sypialni latały odpryski szrapneli. Tu zaś byłem zabezpieczony — w moim pojęciu — od pocisków przyległymi pokojami od ulicy. W nocy na szczęście lotnictwo niemieckie nie bombardowało.

Mieszkałem na drugim piętrze. Nim od dachu pocisk do mnie doleci, uważałem, że mogę spać spokojnie. Zasnąłem. Co za szczęście! Po tylu godzinach pracy w piekle dziennego bombardowania, wśród piwnic gdzie trzeba było docierać z żywnością. Wśród bohaterskich obrońców i niemniej bohaterskich mieszkańców, skazanych na wszystko co najgorsze i znoszących to najgorsze z jedną tylko myślą: "przetrwać"! Przetrwać choćby jeszcze jeden dzień tylko!

Ogień artylerii nie osłabł, nie zmniejszył się, kamienice drżały, huk szedł po mieście. Ale ja spałem. Ile czasu — nie wiem. Zbudziło mnie gwałtowne dobijanie się do drzwi kuchennych.

Podniosłem głowę. Było cicho. Zupełnie cicho. Nie mogłem zrozumieć co się działo. Gdzie jestem. Co się dzieje. Dobijanie się do drzwi otrzeźwiło mnie. Pobiegłem do kuchni. Otworzyłem. Przede mną stał Janek. Janek, nasz czternastoletni, nieustraszony chłopiec redakcyjny.

—Niech pan idzie — mówił rozkazująco — prędko! Przysłali po pana od prezydenta Starzyńskiego. Ale zaraz, krzyż pan dostał.

—Zgłupiałeś. Co za krzyż?

—Pewnie, że jeszcze nie na Powązkach, bo tam trudno dojechać.

—Nie dowcipkuj, powiedz no lepiej dlaczego tak cicho.

—Bo nie strzelają.

—Widzę, że wszystko wiesz. Pewnieś się w nocy zakradł jak Kmicic i wysadziłeś Niemcom największe działo?

Janek obrzucił mnie pobłażliwym spojrzeniem. Umiał "Trylogię" niemal na pamięć. Dowcipów lub pomniejszeń swych ukochanych bohaterów nie tolerował.

—Niech pan nie zwleka! Czekają na pana w podziemiach od Danielewiczowskiej. Pomogę Panu przejść. Już po piątej, na szóstą ma pan tam być.

Ruszyliśmy zgodnie i możliwie pośpiesznie. Ulica była pusta. Świt. Słońce dopiero zapowiadało się gdzieś smugą jaśniejszą z za Wisły. Świt po dramatycznie głośnej nocy. Dopiero gdzie niegdzie wychylały się z bram zaniepokojone i zdumione ciszą, zmęczone, zmięte, szare twarze mieszkańców.

Wyszliśmy na Nowy Świat. Od dwu dni nie byłem za dnia na powierzchni tych ulic warszawskich. Telefony nie działały. Wiadomości tragiczne woleliśmy traktować jako nieodpowiedzialną plotkę. Pomniejszaliśmy raczej w swej świadomości pogłoski o stratach i zniszczeniach. Teraz — po dwu dniach —stanąłem oko w oko z dzielnicą, której każdy metr znałem od dziecka. Znałem — a dziś . . . Dziś szedłem ulicą i zgadywałem, koło którego domu przechodzę. Przypominałem sobie — co na tym miejscu było?

Na rogu Chmielnej i Pierackiego dwie kamienice pięciopiętrowe padły krzyżem w poprzek ulicy. Wielki dom Malinowskiego zawalił wejście na Chmielną. Wzgórze wysokości czterech metrów powstało na środku jezdni.

Pod ścianą domu nr. 27 na Nowym Świecie u wylotu Chmielnej coś leżało. Okryte szarą płachtą czy workami. Spojrzałem w tę stronę. Z pod szarej płachty wyjrzał ku mnie żołnierski but, a nieco dalej nieokryta prostopadle ku niebu wzniesiona ręka z zaciśniętą pięścią. Sztywna, martwa, grożąca pomstą, czy wzywająca kary boskiej.

Przebrnąłem przez pagórek na środku Nowego Światu i wśród piachu, gruzów, szkła i splątanych kilometrów drutu, posuwam się dalej. Szeregu domów po nieparzystej stronie ulicy po prostu nie ma. Doły, pagóry, ruiny. Tkwią opalone ściany domu nr. 47, ale obok, tam, skąd śmiały się wielkie witryny pełne róż, storczyków, konwalii, kwiaciarni Gronowskiego nie ma po prostu nic.

Po drugiej stronie — narożnik Ordynackiej spalony aż po gmach Konserwatorium, chyli się cały ponad ulicą, jakby zamierzał rzucić się w rozpaczy na bruk. Poprzez czeluście spalonych resztek lewej strony Świętokrzyskiej widać domy Wareckiej, domy na placu Napoleona. Sterczy ściana redakcji "Robotnika", spalonej, zbombardowanej reduty Niedziałkowskiego, skąd co dzień płynęły słowa jego wezwań, piętnowań wroga w artykułach podpisywanych imiennie przez cały czas oblężenia.

Słońce wolno wznosi się nad tym rumowiskiem. Lekki przymrozek tu i ówdzie zabiela strumienie wody wyciekłe z połamanych, poskręcanych jak liany rur kanalizacyjnych. Coraz więcej ludzi wypełza na ulice.

Cisza. Cisza w powietrzu i na ziemi. Ludzie wznoszą oczy ku niebu. Wypatrują samolotów. Nie mogą pojąć co się stało. Co oznacza ta cisza po nocy gwałtownego bombardowania? Po trzech dniach nalotów nieustannych i bezkarnych!

Przez małe drzwiczki od strony Danielewiczowskiej przedostaję się do gmachu Ratusza. Wszystkie inne wejścia zatarasowane, obstawione wartą. Schodzę w podziemia.

Niby to schrony. Niby biura prezydium. Niby sztabowe kwatery. Elektryczność nie działa, bo elektrownia zbombardowana. Gdzieniegdzie palą się ogarki świec. Blade światło dnia zwolna przesącza się do piwnic. W korytarzu i wielkiej jakiejś komnacie parę stołów i ławek. Pełno ludzi. Urzędnicy magistratu. Skauci-łącznicy. Wojskowi. Pogotowie sanitarne. Pogotowie przeciwgazowe. W rogu na maszynie blada panienka pisze raporty i rozkazy dzienne.

Twarze zmęczone. Twarze zacięte. Twarze ponure. Twarze niepoddające się zwątpieniu.

Czekają.

Gotowi spełnić każdy rozkaz. Przeczuwają coś strasznego. Nie chcą wierzyć. Odpędzają myśl przerażającą a natrętną.

Ściskam dłonie znajomych. Ściskam dłonie ludzi po raz pierwszy widzianych. Przedostaję się do sąsiedniej izby piwniczej. Tu już mniej osób. Najbliższy sztab prezydenta. Sekretarki. Porucznik-adiutant, jeden z radców prawnych. Podpułkownik, dwu majorów, trzech dyrektorów magistratu, kilka pań z różnych sekcji sanitarnych i żywnościowych. Nici, arterie obrony cywilnej miasta.

Ktoś mi ściska dłoń, pocichu składa życzenia. Pokazuje mi listy. Rozkaz dzienny generała Rómla — jestem na czwartym miejscu. Powinieniem się cieszyć. Być dumny. Nie mogę. Nie umiem. Nie ma miejsca w naszych sercach na radość osobistą.

Coś radosnego zamarło w nas do końca życia. — Widziałem piwnicę pełną małych dzieci. Siedziały tam z matkami trzy dni. Błogosławieństwem obsypano mnie za wiadro wody. Bochenek chleba dzielono na 30 kawałków. To — to było ważne! Wszystko inne — nieważny, codzienny blichtr.

Rozmawiamy półgłosem. Jak na pogrzebie. Nikt nie śmie powiedzieć czegoś bardziej określonego, pewnego. Unikamy spojrzeń, a czasem spojrzenie się zahaczy o czyjąś łzę.

Wartownik otwiera boczne drzwi. Wchodzi Stefan Starzyński. Jest blady. Twarz ma ściętą zmęczeniem i bólem. Głos ochrypły, nadszarpnięty przemówieniami przez radio, pracą nadludzką, niedospaniem. Szybko w rogu pokoju odbywa krótką naradę z wojskowymi. Podchodzi do jednej z sekretarek, mówi do niej półgłosem: — "Proszę zanotować, gdybym nie wrócił". Dyktuje. Trwa to może trzy, może pięć minut. Jeszcze parę poleceń członkom zarządu miasta. Podchodzi do mnie. Podaje mi urzędowy papier i wstążeczkę. Ściskamy sobie ręce. Patrzymy sobie w oczy. Najżyczliwsze słowa więzną w gardle.

Przed prezydentem staje adiutant: — "Panie prezydencie, samochód gotów".

—"No to jedźmy — odpowiada Starzyński. — Żegnam państwa". I zaczyna po kolei ściskać dłonie obecnych.

Otaczamy go kołem. Gdzieś pod ścianą zaczyna płakać któraś z pań. Ktoś głośno jęknął "Jezus, Maria". Starzyński coraz spokojniejszy, coraz bardziej opanowany, żegna się z nami. Już idzie ku drzwiom.

—"Ależ pan prezydent nie ma palta, dziś przymrozek — woła któraś z pań — dajcie palto dla prezydenta!"

Jestem niemal tego samego wzrostu. Zdejmuję moje palto i podaję. Starzyński zatrzymuje mnie ruchem ręki i pyta:

—"Ma Pan w domu drugie palto? bo jak nie wrócę?"

—"Będzie mi się zdawało, że choć w ten sposób jestem przy panu" — odpowiadam.

—"Nie, nie trzeba — mówi wolno — już jest słońce, będzie ciepło. To nie powinno długo trwać". — Żegna nas skinieniem dłoni. Wychodzi.

Zatrzasnęły się drzwi. Nikt nic nie mówi. Wszyscy udają, że zaczynają pracować. Maszyny stukają. Łzy maszynistek-ochotniczek lecą na klawisze. Gasną dopiero co zapalone papierosy. Trzaskają maszynki i zapałki. Ludzie powoli wysuwają się przez jedne lub drugie drzwi. Izba tragicznej decyzji pustoszeje.

Dopaliły się świece na biurkach i stołach. Światło. Dzienne światło dnia 27 września przenikło do piwnic. Stał się dzień.

Pierwszy dzień nadchodzącego nieszczęścia.

* * *

Wyszedłem z podziemi Ratusza. Idziemy we dwu. Wielki w rozwianym palcie, Michał Sobański, towarzysz wszystkich prac, zapalony, odważny, pełen temperamentu, lojalny w godzinach największych niebezpieczeństw i trudności — dziś niestety ofiara tragiczna Majdanka — kroczy koło mnie.

Idziemy. Poprzez zamienioną w gruzy Wierzbową, plac Małachowskiego, Mazowiecką — idziemy do sztabu. Posiekana kulami, z opalonemi oknami "Zachęta" zabarykadowała wejście, by lepiej ukryć "Grunwald" Matejkowski. Różaniec grobów rozciąga się na skwerze u jej wejścia. Spalony kościół Ewangielicki i wypalony do dna wielki dom dochodowy na rogu Traugutta — rywalizują swymi ruinami z zawalonym narożnym domem, ongiś salą koncertów kameralnych Grossmana.

Wchodzimy w Mazowiecką. Na jezdni tłum ludzi. Otaczają zdobyte dziś w okolicy Puławskiej czołgi niemieckie. Wloką się powoli środkiem ulicy. Eskortuje ich dwu żołnierzy i czterech posterunkowych. Załoga niemiecka jest wewnątrz. Gazeciarze warszawscy, te wróble stolicy, wskakują to z tej, to z tamtej strony na toczące się potwory. Zaglądają do wieżyczek. Krzyczą radośnie. Nawołują: — "Te, Niemiec, pokaż łeb!" i inne propozycje im robią.

Toczą się dziś rano jeszcze zdobyte czołgi niemieckie, toczą się przez Mazowiecką. Tłum uliczny wita je i bawi się nimi radośnie. Bawi, się bo . . . jeszcze nie wie.

* * *

Na rogu ulicy Świętokrzyskiej leży koń. Duży, rosły, trafiony pociskiem złoty kasztan. Leży — bez uprzęży, bez siodła. Wielki łysy łeb zalany krwią szczerzy w ironicznym uśmiechu zęby. Skóra na zadzie już rozpłatana, wisi jak wielki łachman. Na grzbiecie zgodnie siedzą z dwu stron jakiś robotnik i starsza kobieta. Mają noże w rękach. Tną równo. Spokojnie. Wycinają duże połcie mięsa. Robotnik ma worek. Kobieta koszyk. Z przeciwnej strony, od brzucha, duży kundel zagłębia łeb we wnętrznościach końskich i ciągnie je, rozpierając się wszystkimi łapami dla dodania sobie siły.

Dwa małe, bose, jasnowłose czterolatki, z palcami w ustach, tkwią w pobliskim rynsztoku i z podziwem wpatrują się w tę scenę, godną groźnego pędzla Goyi.

* * *

Wchodzimy do sztabu. Schodzimy po wielu schodach. Legitymujemy się licznym wartownikom. Świecimy sobie w ciemnościach latarkami. Jesteśmy w podziemiach P.K.O. od strony Marszałkowskiej. Dziś sztab jest tutaj. Przedwczoraj był gdzieindziej . Ale "wymacany" artylerią przy pomocy piątej kolumny, musiał się wyprowadzić z gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, które ciężko zapłaciło za tego chwilowego lokatora.

Przedostajemy się do podpułkownika L., zarzucamy go pytaniami. Czy to możliwe? Czy to prawda? Więc już nie ma innej możliwości? Pułkownik nam tłumaczy, uzasadnia, rozumuje, ale oczy ma gdzieś wbite w ścianę, twarz ziemistą, głos przetrącony.

Nagle widzę wchodzącego generała Karasiewicza-Tokarzewskiego. Idę ku niemu i mówię:

—"Generale, czy to prawda? W piątek pan mówił, że możemy się bronić jeszcze trzy tygodnie!"

Generał patrzy mi w oczy i powiada zduszonym głosem:

—"W piątek mówiłem. W piątek byłem pewien. Ale wczoraj wyleciał w powietrze największy skład amunicji . . . Mogliśmy się dotąd bronić bez elektryczności, gazu, wody, ale dziś mamy tylko po cztery pociski na armatę — praktycznie jest to jedna godzina ognia. Moglibyśmy przetrwać dzień i zamilknąć z braku pocisków. Ale trzeba skorzystać nim nieprzyjaciel dowie się o tym stanie rzeczy. Trzeba skorzystać dziś, kiedyśmy odparli wszystkie nocne ataki. Kiedyśmy od strony Grochowa i Czerniakowa wyparli Niemców do Wawra i Wilanowa. Trzeba wykorzystać warunki dla wojska i dla ludności. Tak każe rozum, kiedy serce w rozpaczy chciałoby skoczyć tylko na te stojące tam czołgi i armaty".

—"Delegacja wojskowa przed chwilą pojechała na rokowania" — dodał podpułkownik L.

Nie było już żadnej wątpliwości. Żadnej nadziei. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

—"Spotkamy się" — rzucił z bolesnym uśmiechem Tokarzewski.

Spotkaliśmy się.

* * *

Wolno wyszliśmy z podziemi sztabowych. Wsparłem się na ramieniu Sobańskiego. Zdawało mi się, że mi przybyło sto lat. Pierwszy raz w życiu poczułem się beznadziejnie stary. Szliśmy bez słowa.

Na ulicach rósł tłum. Wszyscy korzystali z niespodziewanej ciszy, aby wyjrzeć na świat. Stwierdzić rozmiary zniszczenia. Zaopatrzyć się w wodę. Odwiedzić znajomych. Sprawdzić kto żyje, kto zginął.

Ludzie nie rozumieli, co znaczy ta cisza. Snuli domysły.

—"Zawieszenie broni — ktoś mówił — żeby pochować zabitych".

—"Niemcy czekają na najcięższą artylerię" — tłomaczył jakiś strateg.

—"Sosnkowski z odsieczą sowiecką zaszedł ich od Dęblina" — przelicytowywał go inny.

Ludzie snuli domysły, rozwiązywali zagadki, nie wiedzieli . . . — Myśmy wiedzieli. Szliśmy bez słowa. Weszliśmy w ulicę Wiejską. Tu było mniej gwarno.

Nagle zdaleka zobaczyłem po drugiej stronie ulicy znajomą mi z widzenia staruszkę. Szła czarno ubrana. Wyprostowana. Blada. Znała mnie też z widzenia. Wiedziała kim jestem. Kiedy mnie dostrzegła, skierowała się przez jezdnię w naszą stronę. Szła ku mnie. Nerwowo. Coraz szybciej. Patrzyłem na nią — i dotąd widzę tę postać starszej, prawie siedemdziesięcioletniej kobiety w skromnej, czarnej sukni. Takie były grottgerowskie postacie Polek, co cierpiały bez łez, co odprowadzały bez łkania na Sybir, co rękami chwytały bagnety. Przeszła przez ulicę. Stanęła przed nami i jakby z wyrzutem, z pogróżką zawołała:

—"Panie, dlaczego nie strzelają! Co znaczy ta cisza? Co to jest! Przecież się nie poddajemy! To niemożliwe. Tyle męki. Tyle ofiar. Napróżno! Dlaczego nie strzelają?!"

Staliśmy na wprost siebie. Ona — jak wyrzut. My — bezradni, bez słowa pociechy, zaprzeczenia. Spojrzałem jej bez słowa w oczy, schyliłem się i pocałowałem ją w rękę. Nie potrzebowałem nic mówić. Podniosła ręce do skroni i usłyszałem przenikliwe, rozpaczliwe słowa:

—"Boże, Boże, to niemożliwe!!"

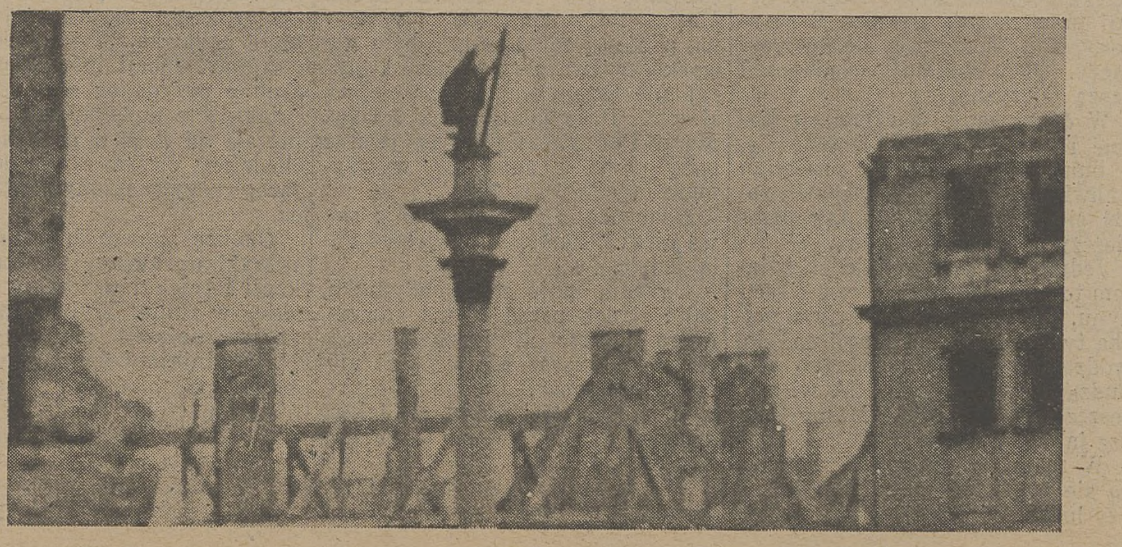
Rozeszliśmy się w milczeniu.

A kiedy dziś, czy wczoraj, czy jutro przypomnę sobie jej oczy, jej tragiczne pytanie, i pomyślę, że to w mieście bez wody, bez światła i żywności, w mieście płonącym, bombardowanym bezlitośnie; w mieście gdzie ruiny i piwnice stały się mieszkaniami — kobieta stara i siwa, kobieta słaba i znękana, nie o zawieszenie broni, nie o zaprzestanie walki, ale z rozpaczą w głosie rzucała nam pytanie: — "dlaczego nie strzelają?" i niepomna na udręki i straty wołała w rozpaczy bezsilnej — "to niemożliwe", to widzę dziś, tak jak widziałem i czułem wtedy — duszę Warszawy.

Duszę Warszawy nieugiętej i niezdobytej. Duszę Warszawy, której ani rzezie praskie, ani mordy gestapowskie nie zmogły i nie zmogą. Przeszli Suworowy, Murawiejewy, Apuchtiny, Paszkiewicze-Erywańscy, Skałłny. Przejdą Franki, Geislery, Himmlery, Hitlery — przejdą potępieni w przekleństwie i pogardzie, a duch Warszawy, tej co się pyta "dlaczego nie strzelają" — będzie jaśniał w aureoli wolności, jak puklerz nieugiętej narodowej woli.

ROMAN ODWET

Ruiny Zamku królewskiego po oblężeniu Warszawy w r. 1939



Wojna na polskim morzu

WOJNA SAMODZIELNA

Mija sześć lat od chwili, gdy — atakiem niemieckiego lotnictwa na Morski Dywizjon Lotniczy w Pucku — rozpoczęła się druga wojna światowa. Stała się ona, po trzystu latach przerwy, chrztem bojowym odrodzonej polskiej siły zbrojnej na morzu.

Kampania wrześniowa 1939 roku na polskim morzu była kampanią krótką: trwała niewiele więcej nad miesiąc. Była to poza tym kampania, złożona z operacyj o bardzo skromnej skali. Nie sposób ich porównać z operacjami składającymi się na zmaganie o światowym znaczeniu, w których brały udział okręty nasze na zachodzie. Istnieje jednak jeden wzgląd, który sprawia, że kampania ta nie zasługuje na to, by o niej zapomnieć: ten mianowicie, że była to kampania całkowicie samodzielna.

Okręty nasze na zachodzie brały udział w operacjach o wiele wspanialszych, niż siły naszej marynarki, zostawione w kraju; i co ważniejsze, w operacjach zwycięskich. Ale okręty te były kółeczkiem w maszynie wojennej, w której kierownictwo należało nie do nich. Siły marynarki wojennej polskiej, zostawione w kraju, stoczyły walkę, będącą w dziejach drugiej wojny światowej tylko drobnym epizodem. Ale walka ta, która na okres miesiąca napełniła zgiełkiem bitewnym Zatokę Gdańską i przyległe wody Bałtyku, była zupełnie samodzielną, polską wojną na morzu; polskie siły zbrojne morskie stawiły w niej samotnie czoła o wiele potężniejszemu, niemieckiemu przeciwnikowi, reprezentującemu tradycje jednej z potężniejszych — w poprzedniej wojnie — marynarek świata.

Siły polskie na polskim morzu zostały przez Niemców pobite; inaczej być nie mogło. Ale już samo to, że stawiały im czoła tak długo, pozwala na to, by o kampanii wrześniowej w Zatoce Gdańskiej nie zapomniała ani historia Polski, ani historia wojen bałtyckich.

NIEKORZYSTNE WARUNKI WOJNY

Wojna na polskim morzu odbyła się w warunkach dla strony polskiej niekorzystnych nie tylko dlatego, że flota polska była nieskończenie słabsza od floty niemieckiej, ale również i dlatego, że wojna ta rozegrała się na tle szczególnie niepomyślnych, ogólnych warunków strategicznych.

Po pierwsze, zalanie całej Polski przez wojska nieprzyjacielskie i odcięcie wybrzeża od reszty kraju już w pierwszych dniach wojny, sprawiło, że operacje sił zbrojnych morskich zawisły po prostu w próżni. Po wtóre, działania naszej floty odbyły się bez współdziałania naszego lotnictwa, w warunkach zupełnego panowania Niemców w powietrzu.

Polska posiadała na wybrzeżu tylko garść aparatów rozpoznawczych i ćwiczebnych; jedyna rola, jaką one odegrały, to był udział w prowadzonej przez Marynarkę Wojenną obserwacji transportów wojsk do Prus Wschodnich jeszcze przed wybuchem wojny. Morski Dywizjon Lotniczy został w pierwszej minucie wojny — wszczętej bez wypowiedzenia — zniszczony w nalocie niemieckim na Puck. Parę aparatów, które po tym nalocie na wybrzeżu ocalały, uległo następnie zniszczeniu już w ciągu tego samego dnia.

Tak więc, poczynając od popołudnia dnia 1 września, nie było na wybrzeżu ani jednego polskiego samolotu, nawet ćwiczebnego, podczas gdy przez cały czas kampanii niebo aż się roiło od wszelkich typów samolotów niemieckich, a przede wszystkim od potężnych eskadr "Stuka".

SIŁY POLSKIE

Polskie siły morskie na Bałtyku w chwili wybuchu wojny składały się z pięciu okrętów podwodnych, a jeśli idzie o siły nawodne, ze stawiacza min O.R.P. "Gryf", z kontrtorpedowca O.R.P. "Wicher" /trzy pozostałe polskie kontrtorpedowce to jest O.O.R.P. "Grom", "Błyskawica" i "Burza", były już na Morzu Północnym/, oraz z jednostek drobnych /2 uzbrojone tylko w działa 75 milimetrowe kanonierki O.R.P. "Gen. Haller" i O.R.P. "Kom. Piłsudski", 6 trawlerów O.O.R.P. "Mewa", "Czajka", "Jaskółka", "Rybitwa", "Czapla" i "Żóraw", oraz dawny torpedowiec O.R.P. "Mazur", na którym nie było już wyrzutni torpedowych i który uzbrojony był tylko w działa 75 mm. i w jedno działko szybkostrzelne Vickersa/.

Ponadto, Marynarka Wojenna dysponowała okrętem do badań hydrograficznych O.R.P. "Pomorzanin" i dwiema jednostkami pomocniczemi O.R.P. "Smok" i O.R.P. "Nurek". — O.R.P. "Bałtyk" był jednostką nieruchomą. Wreszcie, została wzmocniona o przeznaczone do zadań pomocniczych zmobilizowane jednostki cywilne: dwa dawne statki pasażerskie O.R.P. "Gdynię" i O.R.P. "Gdańsk" /z nich tylko pierwszy miał już dowódcę, oficera Marynarki Wojennej i załogę częściowo wojskową/ i kilkadziesiąt kutrów rybackich, żaglowo-motorowych /z których tylko trzy wyposażone były w trały i posiadały czysto wojskową załogę/.

Siły nadbrzeżne składały się z jednej baterii 4 dział 156 mm. na cyplu Helu i z pewnej liczby baterii lekkich i przeciwlotniczych. Ponadto, Dowództwu Floty podporządkowane były nadbrzeżne siły lądowe w ogólnej sile około 11 batalionów, częściowo sformowanych już w trakcie mobilizacji. Już w trakcie działań wojennych, po zatonięciu stawiacza min O.R.P. "Gryf" w porcie Helu, warsztaty Marynarki Wojennej zdjęły z niego część dział 120 mm. i ustawiły z nich baterię na Helu /na betonowej podstawie/, która /po stwardnieniu betonu/ zdążyła oddać pierwsze strzały. /Poczynione były przygotowania do zdjęcia dział 130 mm. z leżącego w wodzie stępką do góry kontrtorpedowca "Wicher" i ustawienia ich również na Helu. Wykonaniu stanęło na przeszkodzie zakończenie działań wojennych/.

SIŁY NIEMIECKIE

Siłom powyższym przeciwstawiły się, prócz atakujących wybrzeże niemieckich sił lądowych i potężnego lotnictwa niemieckiego, następujące niemieckie okręty, które brały bezpośredni udział w działaniach i były zaobserwowane przez polskie okręty, lub obronę wybrzeża:

1/ dwa pancerniki: "Schleswig-Holstein" i "Schlesien", uzbrojone każdy w 4 działa 280 mm., w 10 dział 150 mm. i w artylerię przeciwlotniczą; 2/ krążownik "Königsberg"; 3/ trzy kontrtorpedowce typu "Leberecht Maas"; 4/ trzy kontrtorpedowce typu "Jaguar"; 5/ dwa szkolne okręty artyleryjskie "Bremse" i "Brummer"; 6/ jeden okręt podwodny; 7/ szesnaście trawlerów typu M; 8/ znaczniejsza liczba ścigaczy typu R; 9/ szereg jednostek pomocniczych.

Jak wynika z informacyj, ogłoszonych drukiem przez stronę niemiecką, Niemcy trzymali w odwodzie przeciwko flocie polskiej dalsze jeszcze siły morskie, zwłaszcza w ciągu pierwszych dwu dni wojny, t.j. przed wypowiedzeniem wojny przez Anglię, po której to dacie część niemieckich sił morskich na Bałtyku przerzucona została na Morze Północne.

Jak widzimy z samego tylko porównania siły artyleryjskiej obu stron, najsilniejsza polska bateria /bateria nadbrzeżna na Helu/ składała się z 4 dział 156 mm., natomiast główni jej przeciwnicy, z którymi toczyła codzienny niemal pojedynek artyleryjski, mianowicie pancerniki "Schleswig Holstein" i "Schlesien", miały razem 8 dział 280 mm. i 20 dział 150 mm. Podobnie wyglądał stosunek sił i pod innymi względami.

Mimo tej ogromnej niewspółmierności sił morskich, oraz niemożności przeciwstawienia potędze niemieckiego lotnictwa niczego prócz pewnej liczby dział i ckm. przeciwlotniczych, opór polskiej Marynarki Wojennej na Bałtyku był stosunkowo długotrwały. Polskie okręty nawodne działały na Bałtyku 15 dni. Polskie okręty podwodne 25 dni /odosobniony O.R.P. "Orzeł" nawet 41 dni/. Polskie punkty oparcia na wybrzeżu /mianowicie Hel ze swoją baterią 156 mm./ — 31 dni.

DZIAŁANIA OKRĘTÓW NAWODNYCH

Głównym zadaniem, jakie miały wykonać okręty nawodne, było postawienie pól minowych. To zadanie miał wykonać przede wszystkim nasz wielki stawiacz min O.R.P. "Gryf". Dnia 1 września, w godzinach popołudniowych, wyruszył on celem postawienia min w Zatoce Gdańskiej, wespół z kontrtorpedowcem O.R.P. "Wicher" i z 2 kanonierkami i 6 trawlerami. Zespół został napadnięty przez 20 samolotów. Żaden okręt nie został trafiony, natomiast od wybuchów bomb na powierzchni wody w pobliżu burty, O.R.P. "Gryf" oraz trawler O.R.P. "Mewa" doznały uszkodzeń i strat w ludziach. Z powodu uszkodzenia instalacji elektrycznej wyrzutni min na O.R.P. "Gryf", stawiania min musiano narazie zaniechać. Poległ dowódca i 2 marynarzy tego okrętu. Ranni: 3 oficerów i 22 podoficerów i marynarzy. Na O.R.P. "Mewa" 1 oficer i 8 podoficerów i marynarzy zabitych, wielu rannych, w tej liczbie dowódca; mimo ciężkich strat w ludziach okręt strzelał do końca, przyczem działo i ckm obsługiwane były przez rannych z ciężko rannym dowódcą na czele.

Tegoż dnia, o parę godzin wcześniej, w czasie nalotu "Stuka" na port wojenny na Oksywiu zatonął torpedowiec O.R.P. "Mazur" i okręt pomocniczy O.R.P. "Nurek". Z O.R.P. "Mazur" strzelano z dział opl. jeszcze wówczas, gdy okręt rozłamany był na kilka części i gdy artylerzystom na pływającym w środku basenu kawałku wraku woda sięgała po pas. Na obu okrętach wielu zabitych i rannych.

W nocy z 1 na 2 września kontrtorpedowiec O.R.P. "Wicher" spotkał krążownik niemiecki "Königsberg" i 2 kontrtorpedowce. Do walki nie doszło.

Rano dn. 2 września samoloty niemieckie zatopiły w Zatoce Puckiej O.R.P. "Gdynię" i kilka kutrów. Zginęło 2 oficerów i kilkudziesięciu marynarzy. Dokładna liczba strat nieznana. Na O.R.P. "Gdyni" znajdowała się chwilowo duża grupa marynarzy, przeznaczonych na kutry /załogi zapasowe okrętów podwodnych i rezerwiści/, lista ich zatonęła wraz z nimi, to też ścisłego ich wykazu brak. Samoloty po zatopieniu O.R.P. "Gdyni" ostrzeliwały z ckm rozbitków, pływających w wodzie i obrzuciły bombami ratujące ich kutry. M.in. zraniony został już w wodzie dowódca O.R.P. "Gdynia", por. mar. Kosko i zmarł w szpitalu, po złożeniu zeznań. Tegoż dnia zatonął w Zatoce Puckiej w nieznanych okolicznościach O.R.P. "Gdańsk".

Dnia 3 września O.O.R.P. "Gryf", "Wicher" i mniejsze okręty, stojące w porcie wojennym na Helu zostają zaatakowane przez 2 kontrtorpedowce niemieckie typu "Leberecht Maas" i wdają się z nimi w bój artyleryjski, do którego przyłącza się bateria brzegowa z Helu. Obaj napastnicy zostają trafieni i oddalają się, zakrywszy się zasłoną dymną, jeden przypuszczalnie tonie. "Gryf" lekko uszkodzony /5 podoficerów i marynarzy zabitych, 2 oficerów i 7 marynarzy rannych/. Tegoż dnia o godz. 13 i 14 dwie formacje samolotów atakują port wojenny w Helu i zatapiają w nim bombami O.O.R.P. "Gryf", "Wicher" i "Gen. Haller". Okręty strzelają do samolotów aż do zatonięcia.

W nocy z 6 na 7 września i z 7 na 8 września trawlery O.O.R.P. "Czajka", "Rybitwa" i "Jaskółka" postawiły pola minowe pod Gdańskiem. Dnia 12, 13 i 14 września, w biały dzień, te same 3 okręty operują w Zatoce Puckiej, wspierając ogniem swych dział działania na lądzie w rejonie Depki /na północ od Oksywskiej Kępy/. Dnia 15 września dwukrotny nalot 18 i 19 samolotów niemieckich na port w Jastarni. Zatopione zostały: "Jaskółka", "Czapla" i "Pomorzanin". Uszkodzona "Rybitwa". Tegoż dnia O.O.R.P. "Rybitwa", "Czajka" i Żóraw" zawijają do portu w Helu, gdzie wraz z O.R.P. "Kom. Piłsudski" i unieruchomioną O.R.P. "Mewa" zostają, wobec niemożności dalszych działań okrętów nawodnych, rozbrojone, a ich działa ustawione na lądzie.

DZIAŁANIA OKRĘTÓW PODWODNYCH

W czasie od 1 do 5 września wszystkie 5 okrętów podwodnych patrolowały w pobliżu polskich wybrzeży. O.O.R.P. "Wilk", "Ryś" i "Żbik", które są równocześnie stawiaczami min, postawiły w dniach 3, 7 i 9 września trzy pola minowe. Na jednym z tych pól, w dniu 1 października, na oczach załogi nadbrzeżnej w Jastarni, zatonął trawler niemiecki.

W dniu 5 września nastąpiła, na rozkaz Szefa Kierownictwa Marynarki Wojennej zmiana rejonu patrolowania okrętów podwodnych. Patrolowały one odtąd na pełnym Bałtyku, między Szwecją, wyspą Bornholm i wybrzeżem południowym i wschodnim. Nie miały sposobności zatopienia nieprzyjacielskich okrętów; natomiast skrępowały nieprzyjaciela pośrednio, zmuszając go do wielkiej ostrożności w poruszeniach i do ograniczenia żeglugi. Przyznali to później Niemcy, pisząc w swojej prasie, że polskie okręty podwodne odgrywały rolę *"Fleet in being"*.

Okręty podwodne były tropione i atakowane przez nieprzyjacielskie lotnictwo, kontrtorpedowce i ścigacze. O.R.P. "Ryś" był atakowany 2 i 4 września przez lotnictwo i obrzucony 53 bombami, 2 i 3 września poszukiwany przez ścigacze /nie bombardowany/. O.R.P. "Żbik" ostrzeliwany 7 września bezskutecznie przez okręt nawodny. O.R.P. "Sęp" atakowany 2, 3 i 4 września przez kontrtorpedowce i ścigacze, obrzucony 35 bombami głębinowemi. O.R.P. "Wilk" atakowany 2, 4 /czterokrotnie/, 5 /czterokrotnie/ i 7 września przez trawlery i inne okręty nawodne, obrzucony 48 bombami głębinowemi. O.R.P. "Orzeł" atakowany 5 września przez lotnictwo /4 bomby/ i czwartego września przez jednostki nawodne /10 bomb/.

Niemcy byli przekonani, że 4 z pośród naszych okrętów podwodnych zostały zatopione, w swoim urzędowym komunikacie wojennym z dn. 4 września ogłosili o zatopieniu dwu polskich okrętów podwodnych, a 6 i 8 września o zatopieniu dalszych dwu. W istocie, żaden z okrętów nie został zatopiony, uległy one tylko mniejszym, albo większym uszkodzeniom.

Dnia 11 września Dowódca Floty, znajdujący się na Helu, nadał do okrętów podwodnych rozkaz: "Próbować iść do Anglii. Jeżeli niemożliwe — działać jak długo można, następnie iść do portu w Szwecji. Meldować decyzję".

O.R.P. "Wilk" wyruszył dn. 12 września i przybył 20 września do Anglii, przyczem przechodząc przez cieśniny duńskie minął w nocy 14 września w kanale Flintrinne dwa kontrtorpedowce niemieckie w odległości 50 metrów; oświetliły go one reflektorem, lecz nie rozpoznały jego polskiej narodowości.

Reszta okrętów podwodnych, głównie z uwagi na stan paliwa, częściowo z uwagi na stan uszkodzeń, pozostała na Bałtyku. O.R.P. "Sęp" patrolował do 16 września, dn. 17 września z powodu silnych uszkodzeń /woda wlewająca się do wnętrza/ zawinął do Szwecji, gdzie został internowany. O.R.P. "Ryś" internowany w Szwecji 18 września. O.R.P. "Żbik" patroluje do 18 września, a częściowo do 25 września, w czasie od 18 do 25 września usiłuje na morzu własnymi środkami naprawić uszkodzenia, 25 września internowany w Szwecji.

O.R.P. "Orzeł", który w czasie od 9 do 12 września patrolował we wschodnim Bałtyku, zawinął dn. 14 września do Tallina, celem oddania chorego dowódcy do szpitala. Okręt został bezprawnie internowany przez władze estońskie. W noc z 17 na 18 września, pomimo braku map zabranych przez władze estońskie, pod dowództwem zastępcy dowódcy, zbiegł z Tallina, ostrzelany przez baterie brzegowe i obrzucony bombami głębinowymi. W czasie od 21 września do 7 października patrolował na środkowym Bałtyku, 8 października minął Kopenhagę, 11 wszedł do Skagerraku, 14 zawinął do Anglii.

DZIAŁANIA BATERII NADBRZEŻNYCH

Baterie nadbrzeżne, a zwłaszcza bateria 4 dział 156 mm. na Helu, prowadziły nieustanną walkę ogniową z okrętami niemieckimi; szczupłość zapasu amunicji zmuszała do wielkiej oszczędności w strzelaniu i do niejednokrotnego niewyzyskania możliwości skutecznego ognia. Bateria helska uszkodziła pancernik "Schleswig-Holstein", zadając straty w zabitych i rannych. Ta sama bateria, bądź też inne, lżejsze baterie, osiągnęły trafienia na pancerniku "Schlesien" i na kilku jednostkach mniejszych. Dwa trawlery zostały przez artylerię nadbrzeżną przypuszczalnie zatopione. Baterie nadbrzeżne były wciąż bombardowane z morza i z powietrza, poniosły wiele strat w zabitych i rannych, lecz tylko bardzo nieznaczne uszkodzenia.

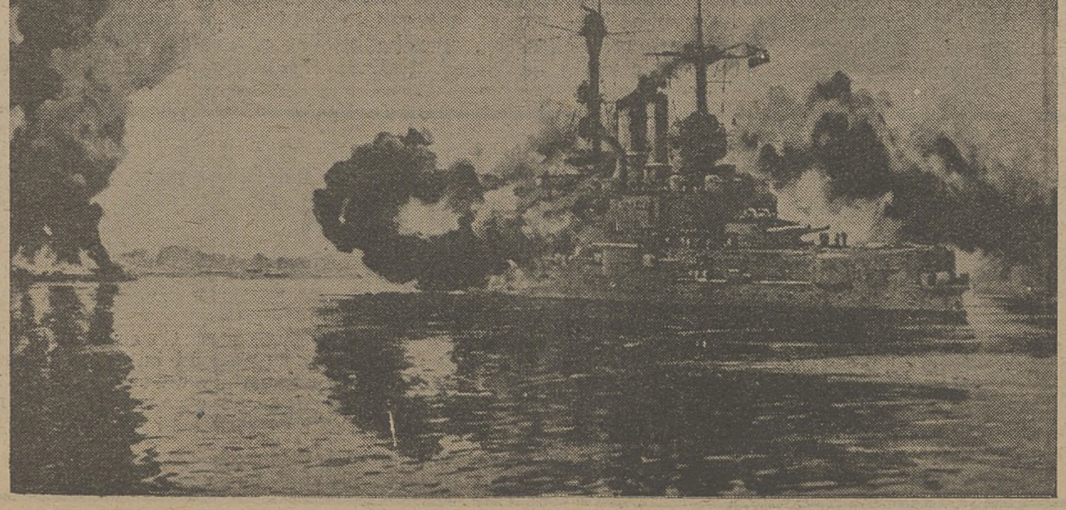
Załoga Westerplatte kapitulowała 7 września, po bardzo ciężkich walkach i po kompletnym zniszczeniu jej środków obronnych, oraz wyczerpaniu amunicji i żywności. Kępa Oksywska, po długich, niezwykle bohaterskich walkach, których opis wykraczałby poza ramy niniejszego artykułu, została zdobyta szturmem dnia 19 września. Hel skapitulował dnia 2 października.

Tak więc kampania wrześniowa na polskim morzu trwała 31 dni. Hel był ostatnim, zorganizowanym skrawkiem wolnego terytorium Rzeczypospolitej, gdyż grupa gen. Kleeberga na Podlasiu, która trzymała się o kilka dni dłużej, nie panowała na określonym, zorganizowanym terytorium, lecz znajdowała się w pochodzie; w grupie gen. Kleeberga, nawiasowo mówiąc, znajdował się również oddział marynarzy.

Kampania 1939 roku na polskim morzu zakończyła się tym, co było nieuniknione: zmiażdżeniem słabych, polskich sił morskich na Bałtyku. Długotrwałość jednak oporu tych sił i stosunkowo znaczne straty, zadane przez nie nieprzyjacielowi sprawiają, że kampania ta zasługuje na nazwę chlubnej karty w dziejach polskiej marynarki.

KRZYSZTOF NOWAK

Ostrzeliwanie Westerplatte przez pancernik "Schleswig-Holstein"



Od zachodniej granicy

Często przewracam kartki mojego czerwonego notesu. . . . Choć są w nim tylko daty i różne miejscowości siedmiu państw europejskich, choć wygląda to jak suche notatki z kilkumiesięcznej podróży krajoznawczej—dla mnie jest najpiękniejszym, aczkolwiek smutnym okresem mojego życia. Wszystkie wypadki tego okresu mam doskonale uporządkowane w swych przegródkach mózgowych, co najmniej jak papiery w kartotekach dobrze prosperującego, porządnego przedsiębiorstwa. Wspominam jakąś datę, zaglądam do czerwonego notesu i zaczyna się wyświetlanie filmu. Całkiem przypadkowo wrzuciłem go do kieszeni i wyjechałem do Warszawy, by pożegnać ją na kilka tygodni. . . .

Podchorąży III-go rocznika S.P. Łączności żegnał piękną roześmianą, rzęsiście oświetloną Warszawę. Żegnał ją na cały miesiąc, nie wiedząc, że po raz ostatni widzi ją tak piękną, że za trzy miesiące zobaczy ją obolałą i poszarpaną, rozoraną bombami i pociskami, znieważoną stopami żołdaków i agentów Gestapo. Nie wiedział o tym i wyśmiałby każdego, kto by mu chciał taką możliwość wmówić. Czuł się młodo i rześko ten góral—Warszawiak od trzech lat, kochał swe drugie miasto gorąco i byłby bił każdego, kto by odważył się wyrządzić jakąś krzywdę jego Warszawie. . . .

. . . . 18 sierpnia kwatera główna Wołyńskiej Brygady Kawalerii zainstalowała się w Brzeżnicy Nowej koło Radomska. Oddziałom konnym, przejeżdżającym przez nią, przyglądali się mieszkańcy z dumą i radością, dziewczęta śmiały się do zuchów, siedzących prosto na koniach, dzieci machały rączkami. Wszyscy byli weseli, ludność czuła się bezpieczniejsza, ułani radzi ze zmiany warunków, nikt nie przewidywał, że za dwa tygodnie. . . .

30-go po południu rozlepiono afisze. Przepchałem się przez tłum, by przeczytać:—"mobilizacja powszechna"! Może nareszcie coś zacznie się dziać! Odprawa u Brygadiera, a po niej ruch samochodów i motocykli. Przesuwamy się w nocy w rejon wsi Ostrowy! Co chwila pędzę z rozkazami do dowódcy brygady i do pułków. Jeżdżę tak do północy, żegnając się ze znajomą Żydóweczką, oddaną mi bardzo, bo . . . też nienawidziłem i kląłem Hitlera.

O świcie instaluję centralę telefoniczną w Ostrowach, w szkole. Ludność gromadzi się, gwarzy, jeszcze jest spokojnie. Zmęczony kilkoma nieprzespanymi nocami idę na kwaterę i natychmiast zasypiam. Rano budzi nas ordynans, że wojna zaczęta i słychać strzały. Pędzę na centralę. Napewno się zaczęło, bo moi ułani dopasowują maski gazowe! Zresztą słychać pomruk od zachodu. W sztabie gorączkowa praca.

Coś ściska mnie za gardło, jak gracza z pokerem w ręku! Dowódca brygady wyjeżdża na posterunek bojowy do Miedźna. Jedzie z nim i mój dowódca plutonu. Szczęśliwy! Zazdroszczę mu i klnę swój los. "Wujo"—dowódca plutonu daje mi swą lornetkę i zostaję na centrali. Drogą od Miedźna walą cywile, unosząc z sobą co się da.

Około 11-ej dwadzieścia "Messerschmittów" pikuje i strzela do biednej ludności. Na drodze kłębi się i kotłuje. Bydlęta! Klniemy na tych "rycerzy", jak na prawdziwych kawalerzystów przystało. Zemścimy się strasznie!

Bandyci przelatują nad nami i po chwili znowu pikują. Teraz na nasze tabory. Walczą ze słoniną i naszą kawą konserwową. Z niecierpliwością wypatruję naszych, chciałbym zobaczyć, jak dobiorą się szwabom do skóry. Na razie ich nie widać! Pewno wykańczają wspólnie z Francuzami Berlin! Serdeczne "Szczęść Boże"!

Co chwilę wpadam na centralę, lecz nie mogę wytrzymać pod dachem, niewysoka ilość moich lat wygania mnie na pole, jakże zazdroszczę "wujowi," że jest tam, bliżej! Wraca Brygadier i ruga mnie, że oparty o płot, strzelam do samolotów z . . . lornetki.

Około godz. 16-ej przylatują znowu. Teraz macają nas i na wioskę spadają małe bombki zapalające. Ze szkoły położonej na górze widzę po chwili, jak pół wioski płonie, rzeczka, dzieląca wieś na połowy, chroni drugą jej część od takiego samego losu.

Około 20-ej zwijam centralę i maszeruję na Brzeżnicę. Nie naprzód, lecz z powrotem! Po drodze widzę żniwo niemieckich samolotów—trupy ludzi i koni, rozbite wozy taborowe i amunicyjne. Wszystko zastygło w śmiertelnym bezruchu, tylko gdzie niegdzie rusza się koń ranny kulą lub przywalony wozem, odwraca łeb i rży cicho do naszych koni, rży smutnie, aż targa coś sercem i ściska za gardło.

Straszny ten pierwszy dzień. Dają mi na wozy rannych, każą jechać jak najwolniej, by nie męczyć biedaków. Ranny w brzuch błaga o wodę! Przed Brzeżnicą Brygadier płk. F. osobiście legitymuje powracających, padają odpowiedzi: "Oddział nr. 234, oddział nr. 238, nr. 226" Można zwariować!

Szwadron mój stoi za Brzeżnicą, liczę swój pluton, są wszyscy, brak tylko porucznika i mojego ordynansa—Żydka, któremu pozwoliłem rano pojechać do Miedźna, żeby, jak mówił: "Zobaczyć jak nasi biją tych łobuzów—hitlerowców." Pojechał i przepadł, a z nim wszystkie moje rzeczy, których pilnował chyba jeszcze w niewoli.

Nie skończyłem kolacji, gdy dowódca szwadronu wpakował mnie do swojego auta. Jedziemy z powrotem! Porucznik mówi: "Pański dowódca plutonu ranny, mianuję Pana dowódcą plutonu, jedziemy instalować centralę Brygady na skraju Brzeżnicy Starej". Żal mi "Wuja" i ciekawi mnie kto z kolei będzie moim zastępcą, ale na razie pęcznieję z dumy, zaczynam marzyć i snuć projekty i —o zgrozo! . . . nowomianowany dowódca zasypia na ramieniu swego przełożonego. . . . Śni mi się egzamin z radiotechniki w Zegrzu. Zawsze, gdy jestem podniecony śni mi się coś przykrego.

2 września to piękny i słoneczny dzień. Wysoko nad nami słychać granie motorów, nie widzę jednak żadnego, choć uporczywie szperam lornetką po błękitnym niebie. Kucharz, skubiąc jakieś nieewakuowane kurczę, osądza: "To nasze "Łosie" lecą bombardować tych . . . synów!" Ogólne życzenia i aprobata popiera bez jednego sprzeciwu tę ocenę, lecz wydaje mi się niestety, że kierunek lotu jest inny.

Telefon skarży się z przedpola, że trudno powstrzymać to pancerne mrowie, że straty są duże, lecz walczą. Wstyd mi i żal, że będąc młodym, siedzę tu daleko i bezpiecznie. Chciałbym widzieć tych szwabów, podpuścić ich blisko, rzygnąć w nich serię z k.m., zobaczyć zamieszanie i słyszeć jęki, jeszcze straszniejsze, niż słyszałem przy wczorajszym bombardowaniu cywilów.

Około południa przyjeżdża podpułkownik—pilot, cieszymy się, że zobaczymy wreszcie naszych w robocie. Jak podlotek do gwiazdora filmowego podchodzę do niego i proszę go, by kazał rzucić parę bomb i postrzelać do długich kolumn pancernych, bo tyle mamy z nimi roboty. Pułkownik uśmiecha się jakoś dziwnie. . . .

Popołudniu mam jechać z rozkazami do 2 p.s.k. Rozpieram się na motocyklu i jedziemy na nadleśnictwo Prusicko. Tu dowiaduję się, że pułk poszedł dalej. Spotykam ich 4 km. za Prusickiem, oddaję rozkazy i oglądam wojsko. Wygląda dobrze, gęby poczerniałe, oczy i zęby szklą się jak u wilków, kopcą "machorkę" ale . . . coś ich bardzo mało! Pułkownik każe mi zameldować Brygadierowi o marszu na Kamieńsk, odmeldowuję się i wracam z powrotem.

Około 16-ej nawala linia telefoniczna do 21 pułku. Biorę aparat, kawałek kabla i wyjeżdżam. Zaraz za Brzeżnicą widzę nad sobą w prawo błyszczącego "Heinkla" z czarnymi krzyżami jak płynie w kierunku frontu. Ścigają go żółte, świetlne pociski. Niestety! wszystkie przechodzą za wysoko. Klnę kierowcę, bo też wybałusza oczy i może mnie wpakować do rowu. Klnę, ale tym razem to mi nie wychodzi! Wcale mu się nie dziwię. Chciałby po prostu zobaczyć jak żółty promyczek werżnie się w kadłub wroga. Cóż za piękny mielibyśmy widok.

Na lewo krąży drugi samolot, nie widzę dokładnie pod zachodzące, czerwone słońce, przed nami kawałek prostej drogi, most, za nim chałupy z lewej strony, za które chowa się droga. Wtem, z za zakrętu wali wojsko, cała szosa zatarasowana.

Boże, przecież muszę dojechać i naprawić linię! Szofer chce zawracać, nie mogę się zdecydować, a wojsko dochodzi już do mostu. Szofer samorzutnie wykręca w lewo, staje w poprzek szosy, lotnik strzela rakietę i zaczyna się piekło. Jakiś świszczący podmuch wali mi motocykl. Startuję piękną jaskółką do rowu, naokoło mnie robi się zupełnie ciemno. To artyleria niemiecka orze naokoło mnie naszą ziemię pociskami.

Jakiś koń przeskakuje nade mną, unoszę się, by dopaść motocykla, widzę jak koło się kręci, w tej chwili drugi pocisk zamienia mój motocykl w szmelc. Wieję na piechotę. Wiem, że z tego nie wyjdę, czuję, że za chwilę pacnie mnie coś w łeb, ale jakoś mi wszystko jedno. Trochę żal krótkiego życia i przecież chcę zameldować dowódcy brygady. Wydaje mi się, że godziny całe przebiegam w tym piekle, w końcu robi się jaśniej, widocznie udało mi się wyrwać, chcę tylko dostać się do pułkownika.

Przelatuje drogą koło mnie motocykl, słyszę drugi, wybiegam na szosę i podnoszę ręce. Pomagają mi właściwie buty od Niedzińskiego i lornetka na piersiach, bo ułan nigdy nie opuści swego oficera! I choć pociski walą naokoło, kierowca zwalnia, daje mi znak ręką i jak na maneżu wskakuję na przyczepkę. Zdaje się, że ułan klnie, jak każdy porządny szofer, że jestem tylko podchorążym, ale zrzucić się nie dam, co mówi mu moja umorusana twarz, więc jedziemy dalej.

Miło powiedzieś sobie, że człowiek wykiwał śmierć, cieszę się, że motocykl tak pędzi. Kochany polski "Fiat". Polski! Dowiezie mnie do pułkownika!

Jasna cholera! Przed nami wyrasta znowu czarna ściana i zaczyna gwizdać głośniej. Artyleria przeniosła swój ogień. Wszystko jedno — próbujemy przejechać. Wpadamy w czarność, nagle przed nami wyrasta motocykl! Stukamy go przepisowo i robię drugą w tym dniu jaskółkę.

Szofer siada na motocykl, nie widzi w ciemności, że stopień zagiął się na sprzęgło. Klnie. Łapie za karabin i odgina stopień. Karabin trzasł, wali więc nim o bruk, ale stopień odgięty.

Szybko zapalaj motor. Pech! Koło scentrowane! A pociski wyją! Trzeba piechotą! Skaczę jak zając z leja w lej i dopadam lasku! Uff!

Jeszcze "chodzi" coś po wierzchołkach drzew, ale przynajmniej mech chroni od wzbijania się rytej pociskami ziemi w górę! I tak mam jej już pełny nos, usta i oczy!

Znowu, jak rasowy kawalerzysta—szukam jakiegoś środka lokomocji. Nie wierzę w swoje nogi! Jadą tankietki! Wskakuję na jedną i choć parzy mnie w . . . bryczesy od Cenzora, zadowolony jestem, że zamelduję się w szwadronie.

Już nie jestem nieopierzony żołnierz, przeszedłem ciężki chrzest ogniowy, cieszę się, że żyję /choć w Warszawie odprawiono w trzech kościołach w połowie września trzy msze żałobne za grzeszną duszę podchorążego, który zginął w drugi dzień wojny!/ Wstyd mi, że zmarnowałem tyle sprzętu, motocykl, maskę i aparat telefoniczny. Nie minie mnie 14 dni aresztu, gdy po wojnie wrócę do podchorążówki. . . .

Stajemy przed napisem "Jechać wolno! Most podminowany". Jedziemy! Trochę robi mi się niewyraźnie! Wybuchnie czy nie wybuchnie, *that is the question*!

SEWERYN KWAŚNIEWSKI

Kilkanaście dni piekła

Spieszono formacje i rodzaje służb, pozbawione racji bytu, a szczególnie kawalerię. Podchorążowie artylerii dokonywali cudów bohaterstwa, jeśli szło o czołgi, bez których osłony piechota niemiecka nie posuwała się kroku naprzód, nie przedsiębrała żadnego natarcia. Macały nasze baterie ich stanowiska z precyzyjną dokładnością. Piechur zdobywał się na heroizm. Resztki ułanów, wściekłe a żądne zemsty, szarżowały na tankietki, pozostawiały na polach bitew całe szwadrony, ale dokonać swego musieli. Nasze działa zmieniały stanowiska bodaj kilkanaście razy dziennie, przeciągał je kanonier często niezaprzodkowane, on, nie konie, padał na nos, nie licząc się z pracą, ani z czasem . . .

Płonęły już budynki i centrum miasta, płonęły kolejowe składy węgla . . . Na dworzec spadło 18 bomb, rozbijając go doszczętnie. Poszum lecących pocisków nie ustawał przez całe dnie i noce . . .

Upadaliśmy z sił. Budowa goniła budowę, pod huraganowym ogniem artylerii wracaliśmy na linię, na której byliśmy przed kilkunastu minutami zaledwie. Nikomu ani w głowie mycie się lub jedzenie. Zamorusani, zarośnięci, marzyliśmy wyłącznie o śnie, o odpoczynku. Już i grzmot dział nie wpływał na zmianę "apetytów". Zobojętniały, zdeterminowany, wypocząć chciał każdy, by na wezwanie stanąć z nowymi, świeżymi siłami, z jaśniejszą wiarą w siebie.

A Lwów się bronił. Nie szarpał, nie leciał na oślep, lecz spokojnie, trzeźwo . . . przy udziale wszystkich. Strzelec konny, policjant, sztubak, saper — szedł na stanowisko ramię w ramię z piechurem i grzał aż dym szedł! Jak płacić, to płacić! "Kufry" artylerii najcięższej spadały na miasto ze wszystkich stron. Kto siedział w okopach, o niebo bezpieczniej się czuł od tego, którego służba trzymała między budynkami. Gazeciarze, 10-12 letnie bękarty, zapuszczali się po drugą aż linię obronną z plikami pism. "Wieek! Noowy! Wieeek!" — słyszało się . . .

Oddziały wypadowe zbierały żniwa codzień obfitsze. Przestrogi i ultimatum rojem leciały z samolotów. Nie robiliśmy sobie nic z pogróżek. Kilka spadochronów z żywnością dla piechoty niemieckiej "zgubiło trasę" i lądowało po naszej stronie. Czekolada, rum, konserwy — znikało to tym szybciej, im usilniej ktoś wyrażał swe obawy, że zatrute. Humory się ożywiły.

Dnie — jak na złość — gorące, jasne. Żyć tylko zdala od zgiełku . . . Tęsknić do ciszy i spokoju . . .

Grzmot dział i warkot samolotów prawie nas usypiały, monotonią wprost się wydając. Ileż to razy nie chciało się opuścić "swego miejsca", bo "szrapnele pękały wesoło", ileż razy szło się do roboty przez strefę ognia z karabinem zawieszonym na szyi, bo "ręce były zajęte", ileż razy szło się ze śmiechem przy ścianach domów, bo cywile rzucali zewsząd bojaźliwe ostrzeżenia . . . Choć i który był przygnębiony, a popatrzył na to rozbawione wojsko, musiał podzielić humor większości. Nie utrzymał się pesymista . . .

Żołnierz żył jakby trzema rzeczami — a dzień do dnia był podobny — o ile stąpał po tym padole łez i krwi. Bronił wstępu, bił się o swoją własność i nie dawał jej sobie wydrzeć, spał i pił albo pisał listy, bo to już tylko pozostawało. Na nic innego się nie zdobywał.

Stawało się coraz gorącej. W trakcie bombardowania, pewnej nocy wymacali główną centralę — traf, gdym siedział akurat przy łącznicy. Drżały budynki, sypał się tynk i cegły wespół z odłamkami żelaza. Na odcinkach powstało piekło. Kompania czekała rozkazów, rozsiadłszy się w hallu i bramie, czas skracając rozmową. Tak to nas zaskoczyło, że oficerowie nie wiedzieli co przedsiębrać.

Zewsząd wali się huraganowy ogień. Sprawdzam linie. 16 uszkodzeń. Ocalała "Sosna", najmniej wartościowe połączenie tej strefy. Huk, szczęk, gwizd w rozfalowanym powietrzu nie ustawał, gonił się, szalał, pędził opętańczo, chichotał w różnych punktach. W skroniach pulsowała krew przyśpieszonym tempem, jakby wybijając sekundy. Czas nużył i naglił. "Szybko!" — rozkaz słyszeliśmy stłumiony, lecz ostry. Trzeba było przystąpić do pracy natychmiast, bez zwłoki, choć nos trudno wystawić na ulicę, a w nieopisanym chaosie między budynkami każdy stuk olbrzymieje, rośnie . . .

Wysunęły się patrole liniowe. Ogień artylerii nie ustawał. Biła bateriami. W małych odstępach ciszy zdążyły się przedrzeć. Noc była ciepła, ciemna, że oko wykol. O zapaleniu świateł ani mowy. Kabel ciągnęło się powoli, uważnie, w mrokach często się nie orientując gdzie co było, czy być mogło. Ileż tam skrzyżowań, wiązań, jak niesprzyjające, a zabierające masę czasu warunki . . . Przy murze, w lepszym wypadku nad rynsztokiem, zdenerwowany żołnierz wystawiony był na "widok", myśląc o oddaleniu się po usunięciu "kraksy" . . .

Naraz któryś z aparatów usiłuje się dodzwonić. Trzeba mu pomóc, ręce drżą pod prądem induktorów, targa ciało, a on, w ciemię bity, przytrzymuje dwie oderwane końcówki, aby umożliwić porozumienie się, wie, że czas ucieka, czas zmarnowany, lecz i rozumie, że ten moment mógł równie dobrze decydować o setkach żywotów.

Rutyna . . . Park, przy placu Smolki, pochłonął godziny. Splątane w zwalonych konarach i rozbitych drzewach przewody tworzyły kłębowisko, że głowę można było stracić.

Z kolei artyleria macała dowództwo, budynek Uniwersytetu, położony kilkadziesiąt kroków z boku miejsca, gdzie sieć telefoniczna dosłownie się koncentrowała. Jeszcze gorzej . . . Każdy odcinek należało wydzwonić z osobna, odrzucać nieodpowiednie, wiązać właściwe, wstawiać sztukówki i . . . okazywało się, że linia pękła w kilku miejscach, że dzwoniło się na odcinku paru metrów zaledwie.

Wśród drzew, klnąc na czym świat stoi, a udzielając sobie fachowych uwag i informacyj, dopomagając sobie, oddalając się i stykając ponownie — kręciły się patrolki łączności różnych formacyj.

Ostatnia z naszych wróciła o 4-ej z dwoma rannymi. Okoliczności wyjątkowo trudne i piekielny ogień, niewiele więc dokonały. Pracujący w innych dzielnicach mieli ten sam bigos. W niektórych miejscach przecież karabinem i magnetem torowali sobie drogę do odciętej stacji, musieli zdobywać malutką, wystawioną gdzieś w polu placówkę, nie dać jej zginąć. Polak umie umrzeć — umie i coś zdobywać.

Zamilkły działa, samoloty przejęły dzieło zniszczenia. Znów pękanina ożywiła całe miasto, gdakały zenitówki, nawet kb. jazgotały, lecz mrożący krew w żyłach świst spadających bomb i warkot motorów nie milkł długo.

Znużenie owładnęło każdego. Zbyt szczupła była garstka obrońców, by można marzyć o zluzowaniu. Na Kopernika 32 oficerowie nie mogli zbudzić żadnego żołnierza w 12 godzin po wyznaczonym czasie. Spali w pełnym uzbrojeniu, w mundurach zapiętych na wszystkie guziki, spali siedząc, to leżąc na karabinach i tornistrach. Poprzestawano już na czujkach, w życie wprowadzając grubsze a nagłe wypady, co dawało charakter wojny podjazdowej.

Dnie stawały się jeszcze bardziej gorętsze . . .

JERZYCZ

PEN—CLUB POLSKI

w czwartek dnia 20 września o godz. 6,15 wiecz. w Ognisku Polskim 43 Belgrave Square, London, S.W.1.

IN MEMORIAM

WIECZÓR POŚWIĘCONY PISARZOM ZMARŁYM W KRAJU

Wezmą w nim udział:

Stanisław Baliński, Antoni Bogusławski, Wawrzyniec Czereśniewski, Marian Czuchnowski, Zbigniew Grabowski, Wacław Grubiński, Marian Hemar, Maria Kuncewiczowa, Mieczysław Lisiewicz, Janusz Meissner, Zygmunt Nowakowski, Andrzej Pomian, Jan Rostworowski, Tymon Terlecki, Stefania Zahorska, Karol Zbyszewski

Wstęp 3/- dla żołnierzy w mundurze 1/6

TOWARZYSZ BRONI

Jak Niemcy krwawo pacyfikowali Polskę

Pięcioletnia okupacja niemiecka na ziemiach Polski, odznaczała się okrucieństwem najwyższego rzędu. Za pomocą terroru, krwawego i masowego, starano się zniszczyć wszelkie ośrodki oporu. Oddać Kraj bezapelacyjnie we władanie okupanta. Jednak to się nie udało, bo udać się nie mogło. Można bowiem naród polski podbić, lecz duszą jego nie zdoła zawładnąć taki czy inny zaborca.

Nie mogąc bezpośrednio dosięgnąć dobrze działającej, świetnie ukrytej w podziemiach Armii Krajowej — starano się terrorem masowym wyniszczyć ośrodki antyniemieckiego działania. Było to jednak bezskuteczne, chociaż strumienie krwi polskiej nieprzerwanie wsiąkały w ojczystą glebę.

W pierwszej połowie 1944 roku rozstrzelano w Warszawie jawnie kilkaset osób. Nazwiska ich rozplakatowano, piętnując przy sposobności pomordowanych jako "komunistów". Rozstrzeliwania odbywały się na gruzach spalonej dzielnicy żydowskiej. Jak prowizorycznie obliczono w marcu 1944 roku, w ciągu minionych miesięcy odbyło się 47 egzekucyj, w czasie których Niemcy zamordowali 2517 osób. Są to rozstrzelani, których śmierć rozplakatowano. Łącznie z niepodanymi do publicznej wiadomości egzegucjami — na zgliszczach ghetta w omawianym okresie straciło życie 7000 Polaków. Nie są tu jednak wliczone setki rozstrzeliwanych na Pawiaku.

W tym samym okresie terrorowi mordów masowych poddana została Lubelszczyzna. Egzekucje odbyły się między innymi w Lublinie, Winnikach, Kurowie, Zwierzyńcu. W tym ostatnim spędzono ludność miasteczka, żeby była świadkiem krwawej masakry. Egzekucje odbywały się w Siedlcach, Węgrowie, Łukowie, w Białej Podlaskiej. W Białej jako represja za udzielenie pomocy oddziałom Armii Krajowej, przebywającym w pobliskich lasach.

Pewna wieś w okolicy miasta została spalona. Wieś Polikije na Podlasiu również spalono, a ludność wymordowano za braki w dostarczanych kontyngentach.

W parze z egzekucjami — dokonano masowych aresztowań w Lublinie, Chełmie, Puławach, Opolu Lubelskim, Radzyniu. Radzyń wówczas ustalił rekord aresztowań, kiedy w czasie czterech dni ujęto 8000 osób.

Zapełniły się więzienne miejsca kaźni, oraz obozy koncentracyjne. A jednak — pomimo wyniszczania, prowadzonego na tak wielką skalę — duch narodu został niepodbity. Naród pomimo strat — walczył nieugięcie w dalszym ciągu.

Województwo Lwowskie

Miasto Lwów urokiem swoim i historią przesłania nam Ziemię Lwowską i całość województwa, które ochrzczono imieniem najwierniejszego Rzeczypospolitej miasta.

Jest to województwo, które ze środka Kraju prowadzi ku wschodowi. Na północnym jego skraju leży Stalowa Wola, jedno z ognisk Centralnego Okręgu Przemysłowego. Na samym południu tryska nafta na Podkarpaciu, w Drohobyczu i Borysławiu.

Gdybyśmy na mapie wykreślili linię, biegnącą z rejonu naftowego Borysławia i Drohobycza ku Stalowej Woli — byłaby ona linią, obrazującą rozwój przemysłowy województwa. Zagłębie naftowe, mające za sobą kilkadziesiąt lat wytężonej służby przemysłowej, i młodziutka Stalowa Wola, narodzona na parę lat przed wojną — jako przebłysk dalszego, nowoczesnego rozwoju przemysłowego Polski.

Pierwsze miasto województwa — Lwów, przed wybuchem wojny liczył 312,200 mieszkańców. Przemyśl — 51,800. Kolejno idą miasta: Borysław — 41,500, Drohobycz — 32,300, Rzeszów — 26,900, Jarosław — 22,200 i Sambor — 21,900. Już te dane wskazują, że województwo Lwowskie należy do bardziej zagęszczonych.

Z miast prowincjonalnych województwa — Przemyśl do wybuchu wojny odgrywał znaczną rolę. Rezydowało w nim dwu biskupów katolickich: obrządku łacińskiego i greckiego. Tu była również siedziba Dowództwa Okręgu Korpusu nr. X.

Leżąca na północ od Lwowa Żółkiew — to gniazdo rodziny Żółkiewskich. Wnukiem po kądzieli bohaterskiego hetmana Stanisława, poległego pod Cecorą — był Król Jan III Sobieski, opiekun i miłośnik Lwowa.

Hetman Stanisław Żółkiewski, mąż stanu, waleczny wódz i bohater narodowy — jest jedną z najwspanialszych postaci w dziejach Polski.

Ziemia Lwowska wydała wiele znakomitości, których dorobek jest trwały w ogólno-narodowej skarbnicy. Wymienimy niektóre nazwiska. Synem dzierżawcy z Zimnej Wody był poeta Mikołaj Sęp Szarzyński, młodo zmarły w wieku XVI. W ósmym dziesiątku lat poprzedniego stulecia złożono na wieczny spoczynek w Rudkach pod Lwowem, zwłoki Aleksandra Fredry, największego polskiego komediopisarza.

Różne koleje stały się udziałem tej części Polski. Jest faktem jednak, iż nieprzerwanie przez sześć stuleci — Lwów i jego ziemia stanowiły część Polski. Da Bóg, że i po spłynięciu bieżącej fali przemocy — do Polski powróci to, co było odwiecznie polskie.

Zabytki świadczą wymownie o związkach tej ziemi z polskością. Pochodzą one z głębi odległych stuleci. Najdawniejszym poświadczeniem historycznym polskości tej ziemi, inaczej zwanej Ziemią Czerwieńską, są zapiski ruskiego Kronikarza Nestora. Znajdujemy w tych zapiskach co następuje: "W roku 981 wyprawił się Włodzimierz, książę ruski na Lachów, i zabrał im ich grody, Przemyśl, Czerwień, i inne".

Władysław Jagiełło, ujął losy tej ziemi w następującym dokumencie, datowanym pod pieczęcią królewską w roku 1389: "Lwów i Ziemia Lwowska nigdy żadnemu księciu ani panu oddane nie będą, ale po wieczne czasy z Koroną Królestwa Polskiego, nierozdzielną stanowić mają całość".

I od tych czasów, na dolę i niedolę Ziemia Lwowska, wraz z najwierniejszym miastem Polski — stanowi nierozerwalną część Rzeczypospolitej.

Jezioro Loch Lomond

Wśród mnóstwa jezior Szkocji — Loch Lomond zajmuje szczególne miejsce w uczuciach ludności tego kraju. Jest ono dogodnie powiązane komunikacyjnie z Glasgow, a przytem owiane poezją, i niewysłowienie urocze w swej malowniczości.

Szkocka piosenka o Loch Lomond rzewną melodią chwyta za serce przybysza z innego kraju. Cóż dopiero mówić, gdy wysłuchuje jej rodowity Szkot, który, jak rzadko kto, kocha swoją ojczyznę i jest dumny ze wszystkich jej uroków.

Loch Lomond oznacza właściwie jezioro Lomond. Po angielsku jezioro nazywa się *"lake"*, a po staroszkocku *"loch"*. Mamy w Szkocji nie tylko Loch Lomond, lecz i Loch Rannoch, i Loch Ness, i Loch Leven, oraz wiele innych.

Okolice Loch Lomond są ze wszech miar godne zobaczenia. A szczególnie malowniczo prezentują się jesienią, gdy buki grają wszelkimi kolorami.

Z dookolnych szczytów — ukazuje się niewysłowione piękno okolicy, a przejażdżka statkiem po wodach jeziora daje wiele wrażeń.

Jak zawsze w Szkocji — nabrzeżne stoki jezior są siedliskami rodzin.

W tym wypadku, zachodni brzeg jeziora znajduje się w posiadaniu rodziny Colquhoun, której senior */chief of clan/* zamieszkuje miejscowość Luss, położoną nad samym jeziorem. Tartan tej rodziny jest zielono-fioletowy z białymi i czerwonymi żyłkami.

Po wschodniej stronie jeziora zamieszkiwała rodzina Buchanan, której tartan jest wielokolorowy. Czerwone, zielone, fioletowe i żółte części materii są dodatkowo kreskowane sąsiednimi barwami.

Trzecią rodziną, osiedloną przy Loch Lomond, na północno-zachodnim skraju jeziora, stał się klan MacFarlane, jedna z najstarszych rodzin szkockich. Tartan tego rodu jest tkaniną czerwoną w zielone i fioletowe pasy.

Malowniczość jeziora, poezja i pieśń, urabiane z motywów miejscowych, osnuły Loch Lomond dodatkowym czarem, zachwycając każdego słuchacza. Nastrój uwypuklają wspomnienia historyczne, wiążące się z okolicą — wszystko to składa się na wyjątkowość tego zakątka Szkocji.

Dla Polaków godne zapamiętania, iż jesienią 1940 roku w rejonie tego jeziora służbę pogotowia pełniły baony strzelców z dawnej 1, Brygady. Był to czas spodziewanego najazdu Niemców na Wielką Brytanię.

Co to są "Mewki"?

A raczej kto to są "Mewki"? Na to pytanie odpowiedź daje poniższa notatka. Jak Wojsko ma swoje "Pestki", tak Marynarka Wojenna ma swoje "Mewki". "Mewy" i "Mewki". "Mewy" to — "szarże" i starsze, o dłuższej już służbie w Marynarce Wojennej, członkinie kobiecej rodziny marynarskiej. "Mewki", to młodsze, początkujący marynarze — kobiety.

Niedawno temu, w ich Obozie, którego pełna nazwa brzmi: Obóz Pomocniczej Morskiej Służby Kobiet /P.M.S.K./, w Woodford Green, odbyła się piękna uroczystość związana z zakończeniem pierwszego, na większą skalę, regularnie zorganizowanego Wstępnego Kursu P.M.S.K.

Oficjalna część uroczystości rozpoczęła się od przeglądu ochotniczek P.M.S.K., dokonanego przez Szefa Kierownictwa Marynarki Wojennej, wice-admirała Świrskiego. Na placu przed gmachem będącym szkołą i pomieszczeniem mieszkalnym morskich ochotniczek, ustawiły się one w dwuszeregach, aby zaprezentować się najwyższemu przełożonemu Marynarki Wojennej.

Dokładnie o godz. 11.00 na plac zbiórki zajeżdża samochód pod flagą Szefa Kierownictwa Marynarki Wojennej. Rozbrzmiewają słowa komendy. Komendantka Morskiej Służby Kobiecej, p. Ewa Miszewska, składa raport admirałowi. Potem melduje się komendantka Obozu, p. Julia Ihnatowicz. Przedstawia personel oficerski.

Następuje przegląd ochotniczek, których postawy "na baczność", wyglądu i schludnego, najściślej regulaminowego umundurowania mógłby pozazdrościć najlepszy oddział marynarzy. W słońcu czerwcowego poranka błyszczą złote guziki, srebrne orzełki i . . . doskonale wypucowane trzewiki.

Po dokonanym przeglądzie, oddziały ochotniczek odmaszerowują w szyku zwartym do kościoła. Msza św., kazanie kapelana, udzielającego nauki na przyszłe życie i trudy marynarskie żeńskiej młodzieży morskiej, i wreszcie wzruszający akt składania przysięgi.

A teraz następuje defilada. Szef Marynarki Polskiej, nie może ukryć uśmiechu. To uśmiech zadowolenia. Zresztą nie jest to rzecz codzienna — przyjmować taką — "kobieco-marynarską" defiladę . . .

Po defiladzie wspólny posiłek, obiad marynarski. Do stołów zasiadają nowokreowani marynarze, które przed przysięgą jeszcze tego tytułu nie miały. Nazywały się bowiem ochotniczkami do P.M.S.K. Przy każdym stole zasiedli też oficerowie lub podoficerowie P.M.S.K. oraz oficerowie przybyli ze Sztabu Marynarki Wojennej z Szefem Kierownictwa. Przy jednym ze stołów siedzi wśród rozpromienionych dziewcząt-marynarzy sam Admirał.

To, że ochotniczki przemieniły się w marynarzy, zostało mocno zaakcentowane w chwili, gdy oddziały ich stanęły ponownie do zbiórki, aby po ukończonym obiedzie pożegnać odjeżdżającego Szefa Kierownictwa Marynarki Wojennej. Prężącym się "na baczność" oddziałom Admirał rzuca na pożegnanie: "Czołem, marynarze!"

Dobrze wyćwiczona odpowiedź: "Czołem, Panie Admirale!" i błyski radości w oczach dziewcząt-marynarzy jest mu odpowiedzią.

Część oficjalna skończona. W obozie radość i wesołość, rozbrzmiewają dźwięki muzyki i śpiewu. Przybywają zaproszeni — już nieoficjalni — goście. Wieczorem zabawa, śpiewy i tańce przy ognisku, na polu leżącym w pobliżu obozu.

Teraz kilka dni urlopu, a potem do pracy.

*

Pozostaje powiedzieć parę słów o kursie, jaki odbyły ochotniczki, aby pozostać marynarzami. Kurs miał na celu wyszkolenie ich pod względem wojskowym. Zapoznanie ich z regulaminami i przepisami służby w Marynarce Wojennej i w Pomocniczej Morskiej Służbie Kobiet oraz danie podstawowego przygotowania do dalszego szkolenia i pracy w Marynarce Wojennej.

Trzeba zaznaczyć, że kierownictwo kursu miało jeszcze dodatkowe piękne zadanie. Ze względu bowiem na młody wiek ochotniczek i przerwę w nauce szkolnej, spowodowaną przez wojenne przeżycia, przez deportacje do Niemiec i t.p. włączono do programu kursu naukę języka polskiego, bardzo skróconą naukę o Polsce, wykłady z dziedziny wychowania obywatelskiego i t.p.

Marynarze P.M.S.K. rekrutują się spośród dziewcząt deportowanych do Niemiec w latach wojennych na roboty do farm i fabryk niemieckich. Pewien procent stanowią córki emigrantów polskich we Francji, których ojcowie, czy mężowie służą w Siłach Zbrojnych Polskich na terenie W. Brytanii. Dwie spośród nich uciekły w styczniu 1945 z niemieckiej katowni w Oświęcimiu i zdołały przejść całe Niemcy, aby dotrzeć do linii wojsk alianckich i wreszcie do służby w Polskiej Marynarce Wojennej.

W związku ze skończonym kursem, młode kobiety-marynarze zostały na podstawie cenzusu szkolnego, oraz przeprowadzonych podczas kursu testów, skierowane na dalsze szkolenie lub do prac w biurach i instytucjach Marynarki Wojennej. Szkolenie obejmuje: 1. Łączność i meteorologię oraz kartografię. 2. Przygotowanie do pracy maszynistek i pisarzy. 3. Fotografek i foto-laborantek. 4. Kantyniarek. 5. Kierowczyń. 6. Krawcowych i fryzjerek. 7. Gospodyń i stołowych, oraz 8. Instruktorek dla P.M.S.K.

Część szkolenia odbywa się w tym samym Obozie P.M.S.K., między innymi instruktorek, które są przewidziane do szkolenia następnych ochotniczek do Morskiej Służby Kobiecej. Większość marynarzy P.M.S.K. wyjedzie do miejscowości, gdzie są bazy, oddziały i instytucje Polskiej Marynarki Wojennej, niektóre będą skierowane do szkolenia w instytucjach Brytyjskiej Marynarki Wojennej.

Na zakończenie warto może zaznajomić czytelników ze stopniami służbowymi w Morskiej Służbie Kobiet. A więc odpowiednikiem marynarza /mężczyzny/ jest też *marynarz*. Odpowiednikiem dla starszego marynarza jest starszy marynarz. Następny stopień *mata* w P.M.S.K. nie istnieje. Bosmanmatowi, noszącemu trzy złote "belki" na lewym rękawie, odpowiada tytuł — "podoficer P.M.S.K." Nie ma też odpowiednika dla bosmana lecz jest st. bosman, który nazywa się "starszy podoficer P.M.S.K." Następnym przejściowym stopniem jest "podchorąży P.M.S.K." Potem już następują stopnie oficerskie.

A więc podporucznikowi marynarki odpowiada "trzeci oficer", porucznikowi mar. — "drugi oficer", kapitanowi mar. /który przyrównany jest do stopnia *Lieutenant-Commander* w Brytyjskiej Marynarce/ odpowiada "pierwszy oficer". W Polskiej Marynarce Wojennej najwyższym stopniem oficerskim, jaki posiada kobieta, jest właśnie ten stopień "pierwszego oficera".

WKOS

Marynarze z P.M.S.K. maszerują do kościoła, gdzie złożą żołnierską przysięgę



ŚWIĘTO PUŁKOWE 10 PUŁKU DRAGONÓW

Dowódca w imieniu Żołnierzy Pułku zaprasza wszystkich byłych oficerów i szeregowych 10 Pułku Dragonów, oraz wszystkich żołnierzy Pułku przebywających obecnie na terenie Wielkiej Brytanii, na uroczystości Święta Pułkowego, które odbędą się w dniu 5 września 1945 r. w m.p. Pułku, na terenie północno — zachodnich Niemiec.

Dnia 4 września odbędzie się Apel Poległych 14 oficerów i 217 szeregowych w kampaniach w Polsce, we Francji /1940/, we Francji /1944/, w Belgii, Holandii i Niemczech

DOWÓDCA PUŁKU

* * *

KOMUNIKAT

Związek Handlowców i Administratorów podaje niniejszym do wiadomości, że tymczasowa siedziba Związku znajduje się: 69, Earls Court Sq., S.W.5. FLA 8600.

Na Polaków uwolnionych z Niemiec: £1,306

W załączeniu przesyłam kwotę £1.9.0 /słownie: £ jeden, sh. dziewięć/ z Kasyna Oficerskiego na Fundusz dla Polaków w Niemczech.

Oficer Opieki
D. sier. podchor.

* * *

Inwalidzi-kursiści w Domu Wypoczynkowym "Cleave Court" w Torquay przesyłają £2.4.0 /słownie: funty dwa, sh. cztery/ z przeznaczeniem dla dzieci polskich w Niemczech.

* * *

W załączeniu przesyłam sh. 10 na pomoc Polakom w Niemczech wygrane w dniu Święta Żołnierza w brydża.

st. sierż. St. W.

* * *

Załączam postal order na 6/- /sześć sh./ otrzymane od p. inż. A. Was-go za przepisanie na maszynie z prośbą o przekazanie na pomoc Polakom w Niemczech.

Zofia Kw — ska

W załączeniu przesyłam M.O. na sumę £5 na Polaków uwolnionych z Niemiec.

P.S. Proszę nie ogłaszać mojego nazwiska.

* * *

W załączeniu przesyłam Panu Redaktorowi Postal Order na £7 sh.2 d.6 /słownie: siedem funtów, dwa szylingi i sześć pensów/ na Polaków w Niemczech, zebranych przez oficerów i marynarzy tut. Obozu, zamiast kwiatów dla Komendantki Obozu, odchodzącej na nowy przydział.

Komendantka Obozu PMSK
H.Ch. III-ci Of. PMSK

* * *

W załączeniu przesyłam Money Order No. O.E. 31391 na łączną kwotę £7.10.0 z przeznaczeniem na pomoc byłym jeńcom polskim w Niemczech.

1. £5 10.0 collected by the R.C. Chaplain 71 AA Bde., Father berts during Mass at Dover attended by the Polish H.A.A. Battery, and was offered by him for the Aid for Polish Ex-P.O.W.s in Germany.

2. £2 zostało zebrane przez szeregowych 1 Baterii Sam. Dyonu Art. Plot. Ciężkiej drogą dobrowolnych składek z życzeniem przekazania tej sumy do "Polski Walczącej" na pomoc byłym jeńcom polskim w Niemczech.

D-ca Sam. Dyonu Art. Plot. C.
J.M. kpt. art.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £24.1.6 /słownie: dwadzieścia cztery funty, jeden szyling, sześć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1,306.3.7½ /słownie: tysiąc trzysta sześć funtów, trzy szylingi, siedem i pół pensa/.

POSZUKIWANIA

Kazimiera BRZOSTOWSKA poszukuje ojca Aleksandra BRZOSTOWSKIEGO ostatnio zamieszkałego: Kleczew pow. Konin oraz znajomych. Wiadomości kierować "Obóz Polski" Büdeldorf — Rendsburg.

Marta /Lula/ KAJNIK oswobodzona z obozu koncentracyjnego Bergen-Belsen /Oświęcim/ poszukuje brata Edmunda OTTO ur. dn. 6.V.1914 przybyłego ze Szwecji do Wielkiej Brytanii, przydzielonego do Polskich Sił Powietrznych. Wszelkie informacje proszę kierować na adres: Marty Kajnik Polska Y.M.C.A. Polish Forces 606 C.M.F.

* * *

POSZUKIWANIA

Następujące osoby proszone są o zgłoszenie się do redakcji po informacje z obozów w Niemczech:

Włodzimierz BARANOWSKI, por. w Szkocji, starosta z Suwałk poszukiwany przez p. Julię Otocką.

Franciszek Mieczysław BOBER, ur. 14.7.1902 w Jarosławiu — poszukiwany przez siostrę Adę BOBER-PILARSKĄ.

Poradnik żołnierski

Por. M.T.
Do Związku Pomorskiego wolno należeć wszystkim żołnierzom Polskich Sił Zbrojnych /Wojska, Marynarki Wojennej i Lotnictwa/.

Pchor. L.J.
Cenzura do Południowej Irlandii /Eire/ nadal obowiązuje, podobnie jak do innych krajów za wyjątkiem Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i Dominiów oraz Kolonii Brytyjskich.

P. Marian K.
Dominion and Allied Service Hospitality Scheme, 21B, Cadogan Gardens, London, S.W.5 nie może obecnie służyć pomocą w sprawie nawiązywania korespondencji z Amerykanami, lub Kanadyjkami.

Kpt. Aleksy M.
O uzyskanie kuponów cywilnych dla żony należy się zwrócić bezpośrednio do odpowiednich władz brytyjskich /*Board of Trade*/ na podstawie zaświadczenia organów policji o fakcie kradzieży.

St. strz. Abraham W.
Obecnie każdy żołnierz może pisać do Polski, po informacje jak pisać listy i je wysyłać, proszę się zwrócić do oficera pocztowego.

Ppor. S.S.
Ponieważ Pan dostał się do niewoli po 1.X.1940 r. z jednostek wojskowych sformowanych na podstawie umowy polsko-brytyjskiej, pretensje Pana do uposażenia za czas niewoli są słuszne, proszę w tej sprawie wnieść podanie drogą służbową do Szefa Służby Pieniężnej Sztabu Naczelnego Wodza.

Plut. S.S.
W wypadku, o ile depozyt złożony przez Pana jako byłego jeńca był przyjęty przez polskie organa Służby Pieniężnej, może Pan prosić o jego zwrot w drodze służbowej Szefostwo Służby Pieniężnej.

Ponieważ Polskie Organa Służby Pieniężnej nie mają prawa wymiany walut, ani nie rozporządzają funduszami na ten cel, depozyt może być zwrócony jedynie w walucie, w której był złożony.

P. A. M.
Upoważnienie Pana do podjęcia należności demobilizacyjnych od rządu francuskiego było przekazane Ambasadzie Rzeczypospolitej w Paryżu. Wobec zawieszenia jednak czynności Ambasady Rzeczypospolitej w Paryżu, sprawa podjęcia należności demobilizacyjnych za jej pośrednictwem jest obecnie bezprzedmiotowa.

Przesyłanie odnośnych upoważnień do podjęcia reszty należności demobilizacyjnych rodzinom, lub osobom trzecim, które stale zamieszkują na terenie Francji, jest nadal aktualne.

Dziękuję za życzenia. Bardzo mi jest przykro, że koledzy Pana tak długo czekali na odpowiedź na ich listy, ale wiele jest przeszkód, które trudno ominąć. Proszę mi wierzyć, robimy wszystko, by każdemu jak najprędzej udzielić odpowiedzi w "Poradniku Żołnierskim".

St. Strz. K.
O urlop do Holandii dla zawarcia małżeństwa należy prosić bezpośredniego Dowódcę, który przypuszczalnie będzie mógł uwzględnić Pana prośbę poza zwykłą kolejką zgłoszeń o urlopy do Francji, Belgii i Holandii.

Urlop dla zawarcia małżeństwa może być zaliczony na poczet przysługującego Panu urlopu okolicznościowego.

Mgr. T. B. Ppor.
Pisze pan porucznik, że spadkobierczynią po ś.p. bracie Pana, który zginął w Belgii, 5.X.1944 r., jest jego żona przebywająca w Polsce. Radzę więc gotówkę wpłacić do Banku na rach. "łączny" pana porucznika i żony brata, a książeczkę oszczędnościową wraz z testamentem złożyć w tym samym Banku jako depozyt.

Kazimierz S.
List Pana w sprawie odznaczenia "Krzyżem Walecznych" i otrzymania odznaki Brygady Karpackiej przekazałem właściwym czynnikom wojskowym do załatwienia.

Przypuszczam, że wkrótce otrzyma Pan oficialne powiadomienie, czy i kiedy otrzymał Pan "Krzyż Walecznych" i odznakę Brygady Karpackiej.

A.C.2. Jas. M.
O urlop do Francji mogą prosić wszyscy żołnierze posiadający rodziny na kontynencie. W Pana wypadku podanie należy wnieść drogą służbową do D-cy Polskich Sił Powietrznych. O ile nie zachodzi jakaś ważna sytuacja w rodzinie /śmierć, ciężka choroba/, urlop dostanie Pan w kolejności zgłoszeń.

Kpr. S.G.
Z listu Pana nie wynika, jakim władzom złożył Pan depozyt: polskim, czy brytyjskim. Radzę prosić Oficera Opieki, by w drodze służbowej zwrócił się o zwrot depozytu.

Por. W.
Adres podany przez szwagra pana porucznika jest dobry, ale nie odpowiada wymaganiom pocztowym — powinien on brzmieć: Oflag VI. B. Dössel Polish Military Camp Dössel Germany A.P.O. 230 U.S. Army.

Cieszę się, że pan porucznik tak szybko nawiązał łączność ze szwagrem. Mam nadzieję, że paczki, które Pan wysłał, dojdą do rąk adresata.

Kpr. S.M.
Sprawa ewentualnego starania się o obywatelstwo brytyjskie nie jest jeszcze aktualna. W odpowiednim czasie wszyscy zainteresowani będą powiadomieni o możliwościach i sposobie ubiegania się o obywatelstwo brytyjskie.

"Szeregowiec".
Oszczędności żołnierzy polskich składane na książeczkę oszczędnościową "Post Office Savings Bank Book" urzędy pocztowe wypłacają bez żadnych ograniczeń przy zastosowaniu dotychczas obowiązujących przepisów.

£3 można podjąć codziennie w każdym urzędzie pocztowym U.K.

P. Józef S.
Jednorazowy dodatek, o którym Pan pisze przysługuje przed urodzeniem się dziecka.

Żona Pana winna była na trzy miesiące wypełnić specjalny formularz /można otrzymać w każdym urzędzie pocztowym/, który składa się u oficera płatnika na stacji lotniczej.

O ile to nie zostało zrobione w odpowiednim czasie, radzę wnieść podanie w drodze służbowej o wypłatę tego dodatku, podając powody przeoczenia terminu oraz załączając wyżej wymieniony formularz.

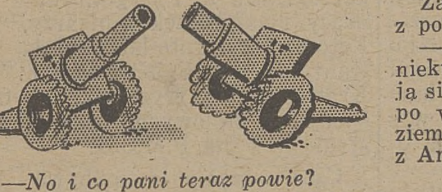
Niezależnie od tego przysługuje Panu dodatek na dziecko po przedłożeniu oficerowi płatnikowi danej stacji lotniczej metryki urodzenia dziecka.

Kapr. W.T.
Zaniepokojenie jest słuszne, ale zapewniam Pana, że gdyby powrót nasz do kraju musiał ulec opóźnieniu, to Rząd nasz będzie się nadal starał o ogół obywateli polskich na emigracji i z całą pewnością specjalną opieką otoczy wszystkich obecnych i byłych członków P.S.Z.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY POKÓJ POTRWA TRZY TYSIĄCE LAT . . .

PO ZAKOŃCZENIU WOJNY



—No i co pani teraz powie?
—Martwię się — pewnie nas przetopią na masło albo na bomby atomowe . . .

ĆWICZENIA

Co teraz robicie w obozie — zapytał jeden z rodaków żołnierza:
—Stale mamy ćwiczenia . . .
—Jakie?
—"Kryj się przed bombą atomową" . . .

POCIESZENIE

Zażenowana Szkotka do jednego z polskich żołnierzy:
—Nie gniewajcie się na nas, że niektórzy zazdrośni Szkoci domagają się, ażebyście opuścili Szkocję. My po wojnie nie chcemy mieć cudzoziemców. Zobaczycie, co my zrobimy z Anglikami . . .

ROZMOWA PAŃ

—To pani nie wie, że Hitler był wegetarianinem?
—Wykluczone! Przecież ożenił się z Ewą Braun . . .

WYLICZYŁ

—Czy pan czytał, że z Kanady wysłali do Polski 700 krów! . . .
—700 krów to jeszcze nic, ale 2800 dojek . . .

PIERWSZE ZMARTWIENIE PO ZAKOŃCZENIU WOJNY



—Czemu nie cieszycie się z zakończenia wojny?
—Bo, bo, znowu zacznie się to przedwojenne salutowanie.

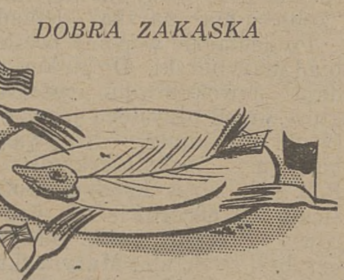
OSZCZĘDNOŚĆ

—To pan pali panie pułkowniku takie marne papierosy?
—Trudno proszę pana — trzeba oszczędzać! Ja nawet dla oszczędności zaciągam się co drugi raz! . . .

AUTENTYCZNE

Szkot zaczepia pewnego polskiego żołnierza:
—Kiedy wracasz do Polski?
—Może jutro, tylko przy waszej "pomocy" nie wiem czy za rok wydostanę się z tej Szkocji?
—Dlaczego?
—Codziennie chodzę na dworzec, staję w ogonku do kasy i chcę kupić bilet do Warszawy, a ten kasjer odpowiada mi: "*sorry*! Nie mówcie nam "*sorry*" tylko dajcie nam "tickety"! . . .

DOBRA ZAKĄSKA



"Śledzik po japońsku" . . .

PO KOMPLETNYM OŚWIETLENIU SZKOCJI



—Co pan tu szuka?
—Zgubiłem przed wojną w tym samym miejscu trzy penny — teraz mam światło . . .

GDZIEŚ W SZKOCJI

W pewnym ośrodku wojskowym szef kompanii zwraca się:
—Kto służył przed wojną w armii lądowej — wystąp!
Wystąpiła cała kompania.
—To dobrze, że was tylu jest z armii lądowej — jutro odejdziecie na żniwa.

Tekst i rysunki: **TONY**

SPIS RZECZY:

WYDAJE SŁUŻBA OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową w Wielkiej Brytanii i zagranicą 1 sh. 6 d., kwartalnie 4 sh. 6d. Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na "POLSKA WALCZĄCA" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.